Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 30-31 (1708-9) Warszawa, 12 — 16 kwietnia 1968 r. Cena 1 złoty

Foto: St. Kraszewski

CZERWONE GITARY

Na liczne prośby czytelników (zwłaszcza czytelniczek), przedstawiamy dziś najpopularniejszy wśród młodzieży zespół instrumentalno-wokalny — „CZERWONE GITARY".

ISTNIEJĄ ZALEDWIE TRZY LATA, ale zdążyli już zdystansować wszystkich konkurentów. Żaden inny zespół nie jest w stanie dorównać im popularnością i sympatią wśród nastolatków. Na ostatniej Telewizyjnej Giełdzie Piosenki, gdzie wystąpili ze swym nowym przebojem „Moda i Miłość" — uzyskali... 25 tys. głosów w plebiscycie. Był to rekord niebywały. Jeszcze nigdy w historii giełd nie osiągnięto takiego imponującego wyniku. Dotychczasowym rekordem była piosenka „Trzynastego" w wykonaniu Kasi Sobczyk, która uzyskała 13 tysięcy głosów.

Ciąg dalszy str. 6 — 7

MAMY FERIE dzięki wiośnie, człowiek rośnie, świat się zmienia, a w człowieku serce rośnie... Na świąteczne czas życzenia. Więc życzymy jak najmocniej, żeby było wam przyjemnie, żeby było wielkanocnie, żeby było wielkodziennie. Żeby chłopak i dziewczyna mieli serca długotrwałe, żeby nie przy egzaminach był „oblany" poniedziałek, żeby każdy z was był sobą w dni, wieczory i poranki, żeby każdy był ozdobą na wzór kwiatka lub pisanki. Jajko jest symbolem życia (niepotrzebne są dowody), więc świąteczne jajko dzisiaj razem z wami je — **„Świat Młodych".**

TWARDY KĄSEK

MAJĄ LUDZIE swoje dziwactwa, mają i pelikany. Ponoć pelikan chwyta w dziób wszystko, co tylko spotka na drodze. Nie czyni tego ani ze złośliwości, ani też z głodu — po prostu taka pelikańska mania. Może za każdym razem chce zbadać możliwości swego potężnego dzioba i błoniastej kieszeni, umieszczonej pod dziobem? Kieszeń rozszerza się w razie potrzeby i służy do wszystkiego, niby siatka na prowianty.

Zdarzyło się, że na drodze pewnego pelikana stanął nieletni miś. Miś wystawił pazury i nie ma ochoty wejść do środka. Może najpierw głowa? Pelikan poczynił kilka prób — bez rezultatu. Misio jednak skorzystał z okazji, aby zajrzeć do wnętrza kieszeni pelikana. Zajście z pozoru groźne, zakończyło się pokojowo.

Pole ryżowe na dachu szkoły

NA DACHU jednej ze szkół w Tokio urządzono miniaturowe pole ryżowe. Uczniowie w czasie lekcji przyrody zapoznają się z uprawą ryżu. Chodzi o to, że większość uczniów w tak wielkim mieście nigdy w życiu nie widziała prawdziwego pola ryżowego i w związku z tym trudno im zrozumieć odpowiednie fragmenty z podręcznika.

Warto przy tej okazji nadmienić, że Japonia zbiera około 17 milionów ton ryżu rocznie i zajmuje pod tym względem trzecie miejsce w świecie.

Hodowla krokodyli

Zjawisko stopniowego wymierania krokodylego rodu budzi zaniepokojenie w Indonezji. Pod Djakartą zbudowano więc niedawno specjalne pomieszczenia, przeznaczone do hodowli krodyli.

PRZEDWCZORAJ w kuchni u Malinowskiej działy się rzeczy przedziwne. Zaczęło się od tego, że babcia Malinowskiej postawiła na kuchni wielki sagan z wodą i łupinami cebuli, żeby zrobić wywar do barwienia świątecznych jaj.

Woda w saganie wrzała i kipiała, a w Malinowskiej zakipiała — jak nigdy — energia i zawrzało pragnienie, żeby w cebulowym wywarze ufarbować pończochy na modny rudy kolor. Przyszłam do niej w momencie, kiedy po wrzuceniu do cebulowego wywaru pary nylonów, daremnie ich szukała cedzakiem w saganie. Nylony rozpuściły się — rzecz jasna — a Malinowska rozpuściła język:

Z pisankami RÓŻNIE BYWA

— Wszystko przez tę tradycję! — krzyczała. — Gdyby nie tradycyjne nawyki babci, to miałabym pończochy, a tak, to co ja mam? No, sama powiedz, co?

— Nylonowo-cebulowy wywar — stwierdziłam spojrzawszy w czeluść sagana.

— Słuchaj! — zawołała Malinowska. — A może takim wywarem pomalować sobie nogi? Przecież to mogą być pończochy nie do zdarcia!

— Jeżeli chcesz mieć pisankowo-nylonowe nogi, to proszę bardzo, może wprowadzisz nową modę i opatentujesz wynalazek... Jeżeli przed malowaniem pokryjesz nogi wzorkami z rozgrzanego wosku albo po malowaniu wydrapiesz gustowne wzorki szpilką na łydkach, zapewniam cię, że zrobisz furorę.

— O, co to, to nie! Już wolę malować jajka — westchnęła Malinowska. — Tylko po co to się właściwie robi?

— Bo Wielkanoc bez pisanek nieważna — powiedziała babcia wkraczając w kuchenne progi. — To stary obyczaj i ma swoje uzasadnienie.

— Od dawien dawna jajka uchodziły za symbol życia, więc żeby to życie upiększyć, ludzie malowali skorupki jajek w różne wzory i na różne kolory. Wspominają o tym już tacy starożytni pisarze jak rzymski Owidiusz i Pliniusz, a u nas dziejopis z początku XIII wieku Wincenty Kadłubek. W swojej kronice wspomina on o wielkanocnej zabawie, zwanej „bitką" albo „wybitką", polegającą na tym, że dwaj gracze uderzają swoje pisanki jedna o drugą, a który stłucze skorupkę jajka przeciwnika — ten wygrywa to jajko. Pamiętam nawet dokładnie, że Kadłubek napisał tak: „Polacy z dawien dawna byli zawistni i niestali, bawili się z panami swymi jak z malowanymi jajkami".

To powiedziawszy — babcia wrzuciła do cebulowo-nylonowego wywaru tuzin jajek, a ja poinformowałam Malinowską, jaka jest różnica między kraszanką, pisanką i drapanką:

— Kraszanka — to po prostu jajko malowane na jeden kolor. Drapanka — to kraszanka, na której wydrapuje się szpilką albo innym ostrzem rozmaite desenie. Pisanka natomiast to jajko pokryte wzorami z rozpuszczonego wosku za pomocą specjalnego lejka, a następnie gotowane w farbie. Farba pokrywa skorupkę w miejscach nie nawoskowanych i na kolorowym tle zostają białe wzory. Oczywiście pokrywanie woskiem i gotowanie w różnych farbach można powtarzać kilkakrotnie co da w efekcie pisankę wielobarwną.

— A może wiesz przypadkiem, Karolinko, jakie wzory są najmodniejsze w tym sezonie? — zapytała Malinowska. — Ja to bym najchętniej robiła takie pisanki-hipisanki, albo drapanki-bitlesanki, albo kruszanki-gitaranki na cześć „Czerwonych Gitar" i „Niebiesko-Czarnych..."

Nie mam nic przeciwko temu — odpowiedziałam — i zaproponowałam Malinowskiej, żebyśmy urządziły

NIEBYWAŁY — WYJĄTKOWY WIELKI KONKURS PISANKOWY!

Ona zrobi pisanki, ja zrobię pisanki albo drapanki, a powołana do komisji konkursowej babcia przyzna nagrodę niespodziankę za najpiękniejsze dzieło!

A może i wy urządzicie u siebie podobne konkursy. Możecie zaprosić do udziału w takim konkursie wszystkich członków rodziny, albo koleżanki i kolegów z tego samego podwórka, albo druhny i druhów z jednego zastępu.

O konkursie takim warto porozmawiać z panią lub panem od rysunku i po uzgodnieniu z nimi urządzić dla klasy, a nawet dla całej szkoły, wystawę pisanek.

Wesołego malowania jajek kurzych (nie indyczych) i miłego świętowania KAROLINKA wszystkim życzy

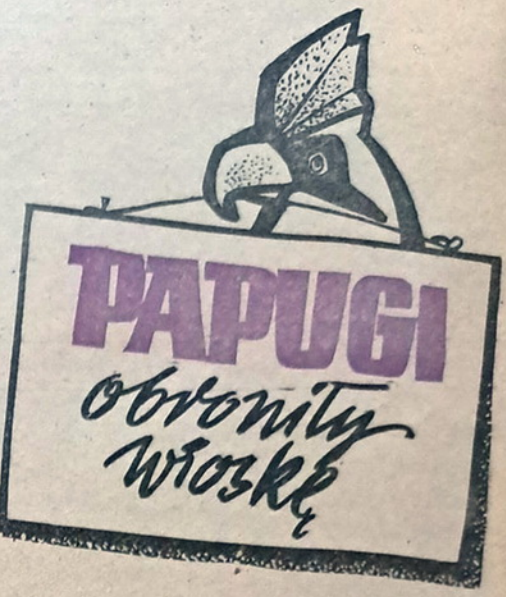

O PAPUGACH wiedziano od dawien dawna. W starożytności hodował je Aleksander Wielki, który przywiózł je sobie do Europy z Indii, a poeta Owidiusz wychwalał nawet w wierszach ich mowę. Papugi trzymali też w klatkach znani rycerze, nie mówiąc już o damach dworu. Najpiękniejsze papugi — bajecznie kolorowe ary i amazonki — przywiózł jednak do Europy, ze swojej pierwszej podróży, Krzysztof Kolumb.

Jak zapewne niektórym wiadomo, w nocy z 6 na 7 października 1492 roku, wywiązała się na pełnym morzu ostra sprzeczka między dowódcą, Krzysztofem Kolumbem, i jego przyjacielem Alonso Piuzonem. Chodziło o ustalenie kursu dla żaglowca. Kolumb pragnął płynąć dalej na zachód, natomiast jego oponent twierdził, że ląd może być tylko na południowym zachodzie. Kolumb nie ustąpił i zły położył się spać. Rano zerwał go na równe nogi krzyk na pokładzie. Nad żaglowcem, który od wielu tygodni płynął samotnie wśród bezkresu oceanu, pojawiły się jakieś kolorowe ptaki, które szybowały właśnie na południowy zachód. Nikt z marynarzy nie widział dotychczas na oczy takich pięknych ptaków. Sam Kolumb był nimi zachwycony i po krótkim namyśle zmienił kurs żaglowca, w rezultacie czego dobił do wybrzeży dzisiejszej Kuby. Jak piszą dawni kronikarze, wyspę tę zamieszkiwały całe stada tych barwnych ptaków.

Kiedy w kilka miesięcy później Kolumb dopływał do Europy, miał na pokładzie skrzynie właśnie z papugami, pochodzącymi z Kuby. Wzbudziły one w Hiszpanii ogromne zainteresowanie, tym bardziej, że opowiadano o nich przedziwne rzeczy. Otóż sam Kolumb głosił tezę, iż ptaki, które przywiózł, występują tylko w miejscach, gdzie znajduje się złoto. Miały one być jakoby strażnikami złota.

Z tamtego okresu zachował się też bardzo ciekawy opis, jak to papugi uratowały mieszkańców pewnej indiańskiej wioski. Cała historia wydarzyła się w Panamie. Konkwistador Alonso de Hajeda zbliżał się właśnie ze swoim oddziałem do jednej z wiosek, w której spodziewano się znaleźć dużo złota. Wojacy zachowywali się ostrożnie. Nagle, gdy już byli w pobliżu wsi, zerwało się z pobliskich drzew stado papug które rozpoczęło wrzaskliwy koncert. Mieszkańcy wioski zobaczyli wtedy, że zbliżają się biali. Mężczyźni rozbiegli się po broń, na obcych posypały się groty i strzały.

Dziś papugi są ozdobą w wielu domach i prawie we wszystkich ogrodach zoologicznych. (ZP)

Rys. M. Kościelniak

Samochody „Świata Młodych"

OGŁASZAMY MOTO—KONKURS!

DZISIAJ w naszym samochodowym kąciku ogłaszamy... „MOTO-KONKURS"! Żeby wziąć w nim udział, należy odgadnąć marki dwóch samochodów, które wam poniżej przedstawiamy. Zaznaczamy, iż oba samochody są już rzadkością na naszych szosach, ale firmy, które je wyprodukowały, wciąż istnieją i cieszą się dużym uznaniem.

Ci, którzy odgadną, o jakie samochody nam chodzi, niech wpiszą ich nazwy na kartkę pocztową. Kartkę z kolei należy przesłać pod adresem naszej redakcji, do dnia 22 kwietnia 1968 roku. Na kartce zaznaczcie hasło: MOTO-KONKURS.

Wśród tych, którzy nadeślą nam (redakcja „Świat Młodych" W-wa, ul. Mokotowska 24) prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy 3 komplety do gry w kometkę!

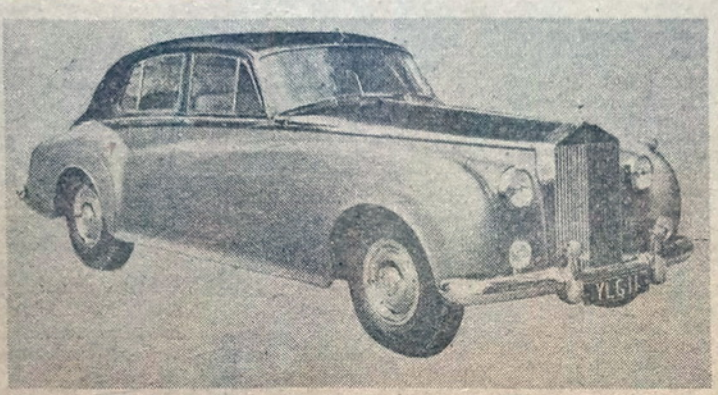

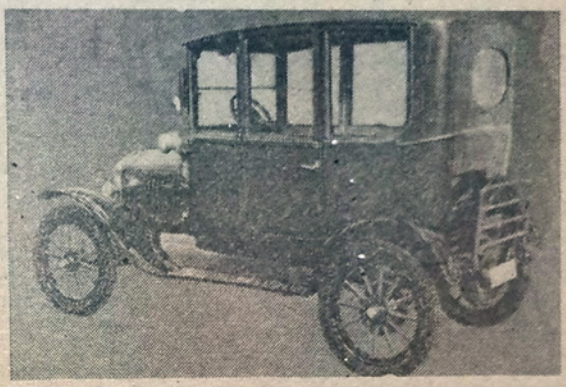

1 **Któż nie słyszał o samochodach tej angielskiej firmy?... Pierwsze modele ukazały się na szosach w roku 1904 i od razu otrzymały u specjalistów światowy znak jakości, za swoją solidność. Mówiło się o tych samochodach i mówi dalej, że są wprost niezniszczalne. Wiele w tym prawdy... Samochody te były i są nadal produkowane w krótkich seriach, często na indywidualne zamówienia, co, oczywiście, powoduje, iż są one bardzo drogie — często cztery, pięć razy droższe od tych innych seryjnych. Wprawdzie dziś firma ta produkuje przede wszystkim silniki samolotowe, ale samochody są nadal „oczkiem w głowie". Jaki to jest samochód?**

2 **Pierwszy egzemplarz tej, z kolei, maszyny powstał w Stanach Zjednoczonych w roku 1908. Przypuszczano, że nie znajdą one nabywców. Twierdzenie okazało się błędnym mniemaniem. Do roku 1927 sprzedano ponad 16 milionów samochodów tej serii. Znane one były nie tylko na rynku amerykańskim. Jeżeli jeszcze nie wiecie, jaki to samochód, spytajcie dziadka. On na pewno jeździł takim wehikułem.**

Moda bardzo młoda

O WIZYCIE prezydenta de Gaulle'a najmodniejszym nayciem młodzieżowej ówki stały się degolówa teraz Francja naca całemu światu mona kolory swojej flanarodowej: niebieski, ały i czerwony. I chonż flaga francuska jest rdzo stara, moda na te zy kolory jest bardzo oda, bo zapanowała doero w tym sezonie wionnym, i jest bardzo odzieżowa.

Więc wyciągnij, czytelczko, ze swojej szafy szystkie niebieskości, ele i czerwienie, i zoicz, jak ci w nich ładnie.

IKT CIĘ NIE OFUKNIE, GDY OZDOBISZ SUKNIĘ.

Zgodnie z przysłowiem ie suknia zdobi człowieka, tylko człowiek suknię", zastanówmy się teraz nad tym, jak te nasze suknie ozdabiać, żeby nawet te najstarsze prezentowały się zupełnie jak nowe. Oczywiście, mówiąc „suknie", mam na myśli całą garderobę: wszystkie bluzki, spódnice, a nawet spodnie, bo zaczyna się właśnie sezon wycieczkowy, a na wycieczkach najwygodniej nosić spodnie.

Więc może — pamiętając o trzech najmodniejszych kolorach: niebieskie, pięknie uprane dżinsy, biała bluzka, czerwony pasek i czerwone skarpetki jak na rys. A? Albo czerwona sukienka z wielkim białym kwiatem w niebieskie grochy, jak ta z rysunku B? Albo — jak na rysunku C — trzy guziki jednakowego kształtu i wielkości (niebieski, biały i czerwony) i takiej samej barwy wypustki przy kieszonkach szarej lub granatowej sukienki...

Proszę bardzo, popatrzcie na rysunki i zastanówcie się. Jestem pewna, że jeśli nawet nie skorzystacie z żadnej z tych propozycji, po obejrzeniu rysunków przyjdzie wam do głowy niejeden nowy trójkolorowy pomysł. A przecież najlepsze pomysły rodzą się zwykle w głowach dobrze umeblowanych i ładnie uczesanych. Pomyślmy teraz o fryzurze.

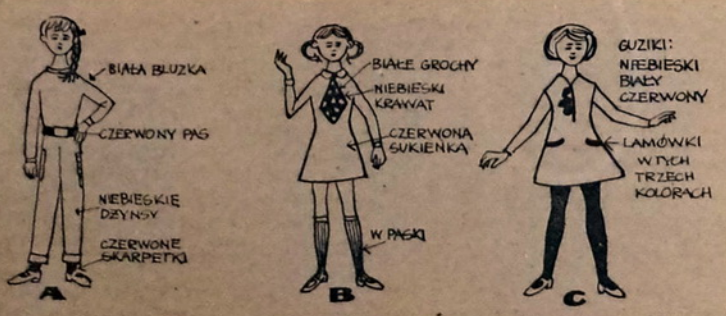

WIDZĄC WARKOCZE, JUŻ SIĘ NIE BOCZĘ.

Przyznaję, że przez kilka lat boczyłam się na warkocze i mówiłam, że krótkie włosy są o wiele wygodniejsze, ale teraz — ponieważ najmodniejsze są właśnie wszelkiego rodzaju warkocze, warkoczki i warkoczyki — doszłam do wniosku, że warkocze są jednak urocze.

Oczywiście te warkocze trzeba bardzo starannie pielęgnować i zaplatać, ale myślę, że chyba warto, bo przypomnijcie sobie tylko taką góralską piosenkę:

„Za górami, za lasami,
za dolinami
pobili się dwaj górale
ciupagami,
hej, górale, nie bijcie
się,
ma dziewczyna dwa
warkocze —
podzielicie się."

No proszę, tak im się te dziewczyńskie warkocze podobały, że się aż o nie pobili...

Więc teraz nie pozostaje chyba nic innego, jak tylko pokazać rysunek kilku takich warkoczastych fryzurek i życzyć wam wiosny w kolorze tak niebieskim jak niebo, tak białym jak kwitnące kwiaty drzew owocowych i tak czerwonym jak serse.

W.Ch.

MIEDZIANY SKARB na dnie Bałtyku

WIESŁAWA MROCZEK

Rys. W. Lewiński

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA pozostawiła na dnie Bałtyku wiele wraków. Niektóre z nich tkwią na dużych głębokościach, nie przeszkadzają żegludze. Inne — zatopione na płytszych wodach — stanowią dla większych statków groźną przeszkodę nawigacyjną. Tym groźniejszą, że we wnętrzu zatopionych jednostek kryją się nierzadko bomby głębinowe, miny, czy też inne środki wybuchowe.

Przed dwoma laty przystąpiono do oczyszczania Toru Zachodniego — czyli drogi morskiej — prowadzącej z Świnoujścia na Sundy.

W akcji tej uczestniczyły holowniki portowe, okręty marynarki wojennej, jednostki Gdańskiego Urzędu Morskiego oraz dziewięć statków Polskiego Ratownictwa Okrętowego z Gdyni. Wśród nich „Rosomak" i „Smok".

Prace na Torze Zachodnim trwały przez dwa sezony. Przygoda, którą przeczytaliście, miała miejsce w pełni lata 1966 r.

NAJPIERW IDĄ TRAŁOWCE — specjalnie przystosowane do tych prac statki. Idą powoli, parami. Ciągną po dnie, 250-metrowym pasem trał — stalową linę*). Ta lina połączona jest z dynamometrem. Kiedy trał zaczepi o przeszkodę, napięcie na dynamometrze daje o tym znać. Wtedy przychodzi „wiechostaw" — mniejsza jednostka — której załoga stawia wiechę, czyli bojkę. Nurek schodzi na dno, sprawdza, co się tam znajduje.

Kiedy wraki stanowią pokryte rdzą puste pudło, bojka jest zielona. Zdarza się jednak często, że wraki kryją w swoim wnętrzu ładunek wybuchowy, zdolny zniweczyć wszystko w promieniu kilkuset metrów. Takie znalezisko oznacza boja żółta.

Dziś, dwie jednostki Polskiego Ratownictwa Okrętowego „Rosomak" i „Smok" pracują w niewielkiej odległości od siebie. „Smok", statek wydobywczy, wyciąga właśnie na swój pokład sterty żelastwa. Na maszcie „Rosomaka" powiewa sygnał BB. Dwie czerwone flagi jedna nad drugą — znak, że nurek schodzi w wodę.

Nurek schodzi w wodę

TADEUSZ RYSZKOWSKI jest doświadczonym nurkiem. Gdyby zliczyć jego czas przebywania pod wodą, wynosiłby on ponad trzy tysiące godzin.

Już dokręcona przednia szyba hełmu. Dwa niezgrabne kroki do trapu. Żelazna drabinka wydaje się za waska dla człowieka, którego „rynsztunek" waży około 90 kilogramów.

Głowa nurka automatycznie wykonuje wahadłowe ruchy w prawo, naciska grzybek wewnątrz hełmu, regulujący dopływ powietrza.

— Gotów?

Dotyk brodą wyzwala połączenie telefoniczne.

— Gotów!

Uderzenie w hełm — znak, że wolno się zanurzyć. W uszach szumi sprężone powietrze, jednocześnie bulgocze uchodzący z hełmu jego nadmiar. Za szybką zielonkawa morska woda. Kończy się trap. Teraz zjazd na dół po linie. Dno. Nurek zapada w miękki szlam. Za szybką ciemno. Przeklęty muł. Trzeba odczekać, aż opadnie drobna zawiesina. Trzeba się unieść trochę ponad dno. Dobry nurek potrafi iść nie dotykając ziemi. Potrafi balansować w wodzie, zmniejszając lub zwiększając swój ciężar, przez odpowiednią regulację powietrza. Potrafi nadać skafander jak piłkę i wypłynąć na powierzchnię wody...

Za szybką przejaśnia się. Ostrożnie, powoli, można rozpocząć rozpoznanie dna. Nurek o każdym swoim kroku informuje kolegów na „Rosomaku". Według ich wskazówek idzie w kierunku, w którym powinien znajdować się wrak.

Gdzie są burty?!

NAGLE OCZY nawykłe do zielonkawej poświaty, dostrzegają ciemniejszą od ściany wody masę.

— Już go mam! — krzyczy w membramę.

Teraz trzeba uważać. Trzeba uważać, bo nieraz się zdarzało, że wokół starego wraka leżały bomby głębinowe. Jeden ruch, drugi. Człowiek jest przy wraku.

— Co to? Nad czarną masą stercza z rzadka żelazne wręgi...**). Z burt pozostała cieniutka siatka, która rozpada się pod dotknięciem... — melduje dalej Tadeusz Ryszkowski. — Pewnie resztki barki! Pocisków nie widzę, za to jakieś żelazne płyty. Cała sterta!...

— Podchodzimy do ciebie! Czekaj!

Na „Rosomaku" panuje podniecenie. Kapitan — Eugeniusz Tykowski — słyszał nieraz o tej barce. Ba — wszyscy, którzy dłużej pracują w PRO, słyszeli. Szukano jej wielokrotnie w pierwszych powojennych latach. O bogactwie, które kryła, krążyły legendy. Aż wierzyć się nie chce, że właśnie im przypadło to odkrycie... Ale czy na pewno?...

Miedziany skarb

KIEDY NUREK uporał się z opuszczoną z „Rosomaka" liną, kiedy owiązał nią jedną z żelaznych płyt, może wrócić na pokład. Nim zdjęto mu hełm, nim koledzy pomogli ściągnąć skafander, kapitan Tykowski przywołuje „Smoka".

— Halo, „Smok" Podejdźcie do nas. Są tu trudne przeszkody nawigacyjne! Zostawcie wszystko!

Ale Augustyn Domnik, kapitan „Smoka", musi najpierw skończyć swoją pracę. Taki już jest. Wtedy dopiero zbliża się do „Rosomaka".

— Co ty tam masz? — pyta Tykowskiego.

— Tam jest miedź. Dużo miedzi. Zobacz sam...

Na pokładzie „Rosomaka" czernieje gruba ociekająca woda płyta. Ale jeden jej skrawek, z którego nożem zeskrobano śniedź — lśni w słońcu jak czyste złoto!

Jeszcze tego samego dnia ładownia „Smoka" wypełniać się zaczęła czarnymi płytami.

Jeszcze tego samego dnia pan Frysztak, kierownik Oddziału Polskiego Ratownictwa Okrętowego w Szczecinie, otrzymał telefoniczną wiadomość i natychmiast przekazał ją dyrekcji PRO w Gdyni.

*

Wkrótce potem próbki znalezionej blachy przekazano do analizy. Okazało się, że jest to wysokogatunkowa, 96-proc. miedź. Wydobyto jej z dna Bałtyku 100 ton! Cena takiej miedzi dochodzi na rynkach światowych do dwóch i pół dolara za kilogram.

Pozostaje jeszcze pytanie — skąd się ten skarb wziął na dnie morza? Otóż, w 1945 roku, hitlerowcy, uciekając, usiłowali wywieźć z okupowanych krajów co się tylko dało. Jedna barka (podobno było ich więcej) trafiła na minę. Poszła na dno. Miedź przegryzła żelazne burty. Pozostawiła z nich cieniutką siatkę. Ale skarb przetrwał. Czekał na swoich odkrywców dwadzieścia jeden lat.

---

*) Trał stanowić może również sieć. Ciągnie ją wtedy jeden statek.

**) Wręgi – żebra kadłuba, nadające mu poprzeczną sztywność. Do wręg przymocowuje się poszycie burt.

SZTUKA NA ulicy

BYŁO TO W ROKU 1919. Na ulicy Twerskiej w Moskwie, w wielkim oknie wystawowym pojawił się ogromnej wielkości plakat. Kilkumetrowej powierzchni malowidło potrafiło zatrzymać nawet biegnącego. Na plakacie narysowane były 2 — 3 postacie, a pod nimi umieszczano zwyczajne, czasem rymowane, informacje Rosyjskiej Agencji Telegraficznej — „Rosta".

Artyści-plastycy i poeci pracowali w nocy. Późnym wieczorem otrzymali informacje agencyjne, poeci brali je natychmiast na warsztat, a plastycy rozrabiali już farby i wycinali w linoleum swoje rysunki. Z tych rytych w linoleum szablonów można było, powlekając je farbą, odcisnąć 50—200 plakatów.

Rankiem, zanim jeszcze ukazały się w sprzedaży gazety, ludzie stawali jak wryci przed plakatami. Wieszano je w miejscach największych skupisk ludności — na dworcach, rynkach, w witrynach sklepowych. W Charkowie na przykład przed budynkiem, w którym wywieszano plakaty, stał od wczesnego ranka ogonek.

Wybitnym twórcą plakatów „Rosty" był znakomity poeta rewolucji — Włodzimierz Majakowski. Jego cięte satyry, ostry jak brzytwa język i szeroki odważny gest ręki czyniły ze zwykłych informacyjnych plakatów prawdziwe dzieła sztuki. Mało kto dziś wie, że Majakowski znakomicie rysował i że swoje rysunki traktował jako pracę dla rewolucji. W pierwszych trudnych latach po zwycięstwie nie było prawie gazet satyrycznych, nie było litografii, ani karykatur. Plakaty „Rosty" atakowały ludzkie umysły, zmuszały do myślenia, a nazwiska ich twórców — Majakowski, Moor, Lebiediew, Deni pozostały w historii Rewolucji i w historii sztuki.

Sztuka na ulicy

PLAKAT powstał wtedy, kiedy człowiek chciał innych ludzi o czymś poinformować, zachęcić, przestraszyć, rozweselić. Spacerując dziś po mieście oglądamy plakaty filmowe, imprezowe. Dobry plakat zachęci nas do obejrzenia filmu, ba, nawet czasem spowoduje, że umyjemy zęby, albo odłożymy trochę pieniędzy na wakacyjne szaleństwa.

Ojczyzną plakatu jest Francja. To właśnie w Paryżu, pod koniec ubiegłego wieku, zaczął tworzyć swoje dzieła znakomity malarz, pierwszy wybitny artysta sztuki plakatowej — Henri Toulouse-Lautrec (czytaj Tuluz-Lotrek). Zapowiadał swoimi plakatami kabaretowe i operetkowe przedstawienia. Później pojawił się na świecie plakat reklamujący przedmioty, urządzenia. Żeby coś sprzedać, należy umieć to zareklamować, a plakat — dobrze zrobiony — potrafi znakomicie do kupna zachęcić.

Plakatowe ABC...

SKORO już powiedzieliśmy, że plakat jest gałęzią sztuki, to wypadałoby powiedzieć, na czym ta sztuka polega, co ją odróżnia od malarstwa, od grafiki, od innych sztuk plastycznych.

Malarstwo — to sztuka koloru, a w plakacie kolor odgrywa rolę bardzo istotną. Ostra kolorowa plama przyciąga oko, zmusza do zapoznania się z treścią plakatu. Są więc w plakacie elementy sztuki malarskiej.

Grafika — to sztuka linii, kreski, czarno-białej lub kolorowej płaszczyzny, a w plakacie często widzimy duże płaszczyzny kolorów, często spotykamy rysunek, zawsze liternictwo. Zatem są w plakacie również i elementy sztuki graficznej. Można powiedzieć, że sztuka plakatu leży na pograniczu malarstwa i grafiki.

Najtrafniejsze skojarzenie

TAŃCZY „MAZOWSZE" — znakomity zespół, który polską ludową muzykę i ludowy taniec rozsławił po całym świecie. Niełatwe miał zadanie grafik, projektujący plakat dla tego zespołu, ale jak trafnie go wykonał.

Ze słowem „Mazowsze" prawie zawsze kojarzy się ruch, taniec, kolorowy strój. Żeby obraz ten działał z daleka, grafik — Waldemar Świerzy — umieszcza tańczącą parę na czarnym tle. Ludowe stroje i uproszczone twarze otwarte przy śpiewaniu plus duży napis: MAZOWSZE, są znakomitą reklamą zespołu, daje z miejsca pojęcie, jakich tańców powinien się spodziewać widz, i w jakim nastroju będą śpiewane przez zespół pieśni.

Plakat jest w ogóle sztuką skojarzeń, wybrania najtrafniejszych elementów, przedmiotów, sytuacji, które określają jego temat.

Co dwa lata odbywa się w Katowicach wielka wystawa plakatu. Istnieje też w Katowicach Wydział Grafiki Wyższej Szkoły Plastycznej, na którym kształcą się plakaciści. Absolwentem tego właśnie wydziału, jest Waldemar Świerzy — jeden z naszych najlepszych grafików-plakacistów.

Polski plakat najlepszy na świecie

W NASZYM KRAJU mamy bardzo wielu wybitnych artystów tej specjalności. Znakomite plakaty polityczne tworzył nieżyjący już artysta Tadeusz Trepkowski, dziś wybitne plakaty tworzą Henryk Tomaszewski, Józef Mroszczak, Julian Pałka (laureat ostatniej wystawy w Katowicach).

Plakat nasz jest bardzo ceniony nie tylko w kraju. Są tacy, którzy twierdzą, że jest to najlepszy plakat świata. Trudno jednak w sztuce o dokładne wymierzenie, który plakat jest lepszy — polski — japoński — szwajcarski. Plakaciści japońscy górują nad nami techniką, jakością druku, farby, górują plakatem reklamującym towary. Nasz plakat częściej zbliża się do malarstwa. Jedno jest pewne — polski plakat nie przynosi nam wstydu na żadnej międzynarodowej wystawie, a na ulicach oglądamy sztukę, której zazdrości nam wiele krajów.

A oto plakat — wzbogacony rysunkiem oddającym klimat „tematu". Projektował go Waldemar Świerzy.

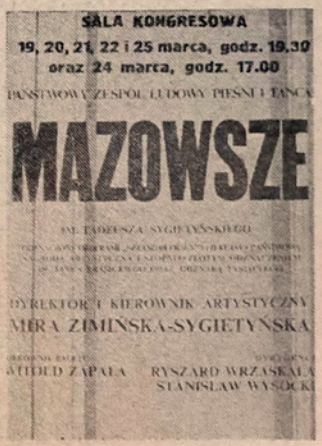

Oto przykład afisza — złożonego wyłącznie z drukowanych liter, ozdobionych kolorowymi liniami.

Zdjęcia autora

WIESŁAW HUDOŃ

Korespondencja własna z Maroka

Zielona zima pod PALMAMI

BYŁ TO CHYBA jeden z najniezwyklejszych obiadów, do którego zasiadłem.

Przy okrągłym, niskim stoliku, sięgającym kolan, siedzieliśmy we trzech: moi dwaj gospodarze — i ja, odrobinę podniecony tym, co mnie oczekiwało za chwilę. Jako że obiad miał być arabski — przeto i po arabsku usiedliśmy przy stole, czyli na kanapie, która pod ścianami otaczała pokój. Na kanapie zaś pełno było kolorowych poduszek, więc to siedzenie było trochę leżeniem.

Zaostrzywszy sobie apetyt rozmową, zmieniliśmy jednak leżenie na prawdziwe siedzenie, kiedy do pokoju wniesiono pierwsze naczynia. Były to: dzban, miseczka i mydło z ręcznikiem. A jakże — umyliśmy ręce, ale zrazu nie bardzo rozumiałem, dlaczego taki obrządek. Po kilku minutach wszystko jednak się wyjaśniło. Oto na stoliku zjawiła się pierwsza potrawa — niby nic nadzwyczajnego: sałatka jarzynowa, drobno pokrojona, szpinak z oliwkami i garstka rzodkiewek. Szybko zrozumiałem, dlaczego tak ważną częścią obiadu jest umycie rąk. Bo właśnie rękami — bez noża i widelca! — należało zajadać ze wspólnego talerza. Każdy z obiadujących działa na swojej części wielkiego talerza — i, przy pomocy chleba oraz kilku palców, wyłuskuje z niego swoją porcję. Nie jest to wcale łatwe, jeśli się nie ma wprawy, no i jeśli jednym z dań jest groszek zielony, który właśnie podano jako drugie danie. A na deser herbata. Ale też niezwykła — gorąca i bardzo (bardzo) słodka — naparzona mięta.

A potem — na zakończenie — znowu mycie rąk, ale tym razem, chyba uwierzycie, nie wzbudziło już we mnie żadnego zdziwienia.

A było to w Maroku...

Maroko — leży w Afryce, w jej północno-zachodniej części. Powierzchnia Maroka większa jest od Polski mniej więcej o jedną trzecią, za to ludność tego kraju wynosi tylko 13 milionów mieszkańców. Ludność Maroka stanowią Arabowie oraz Berberowie.

... gdzie tak się właśnie je — w tradycyjny sposób. W wielu marokańskich domach, w wielu restauracjach można, oczywiście, jeść także tak jak i my, większość jednak ludności przestrzega dawnych obyczajów. Nie tylko zresztą w sprawach jedzenia.

Na ulicach miast często można spotkać kobiety w tradycyjnych długich szatach, z zasłoniętą twarzą. Także i wielu mężczyzn nosi długie, arabskie, jakby-suknie, zwane tam „dżelaba".

Na wsi środkiem komunikacji jest poczciwy osioł. Osły zaprzęga się do wózków, na osły ładuje się worki, a niejednokrotnie osioł zamienia się w wierzchowca — jeździ się na nim bez siodła, a jako że jest zwierzęciem niezbyt wysokim, nogi pasażera często sięgają ziemi. W polu orzą wielkie wielbłądy, one też wykonują inne prace. A konie? Owszem, są piękne konie, starannie pielęgnowane, ale służą tylko do celów bardziej pokazowych. Na przykład do... fantazji.

„Fantazja" przypomina trochę turniej rycerski. Do pojedynku stają dwie konne drużyny — z dwóch sąsiednich wsi. Konie są wtedy barwnie ustrojone, a i jeźdźcy przywdziewają najokazalsze stroje. Drużyna ustawia się w szeregu — jeden obok drugiego, i na znak sędziego rusza szybko do mety. Konie galopują, jeźdźcy wymachują staroświeckimi strzelbami, a wszystko polega na tym, żeby równym szeregiem zatrzymać się na mecie, oddając jednocześnie salwę z karabinów. Sędziowie się przyglądają, sędziowie się przysłuchują — bo na mecie konie powinny stanąć równiutko, a salwa winna zabrzmieć jako jeden wystrzał. Wygra zaś ta drużyna, która jest sprawniejsza.

Maroko ma długą historię. Przez wiele stuleci było niepodległe, po czym zajęli je Francuzi. Dopiero w roku 1956 odzyskało niepodległość.

Maroko ma wiele bardzo znanych miast. Stolicą jest Rabat — tu mieszka król Maroka. Ze wspaniałych zabytków słyną Fez i Marakesz. Największa z nich wszystkich jest jednak Casablanka.

Historia Casablanki jest długa i bogata. Kiedyś, w starożytności, stało na jej miejscu rzymskie miasto Anfa. Zdążali tu kupcy, odbijały stąd łodzie — zdawało się, że przez Atlantyk świat stoi otworem. Z biegiem lat, gdy rzymska kolonizacja przeszła już do historii, upatrzyli sobie Anfę atlantyccy piraci. Stąd wypływały ich żaglowce z czarną flagą na maszcie, stąd też wypływały statki przemytnicze. W końcu XV wieku zburzyli Anfę Portugalczycy, którzy z tego regionu sami chcieli czerpać korzyści. Stała się ta ziemia kolonią portugalską. W sto lat po zburzeniu Anfy, na jej gruzach zbudowali Portugalczycy nowe miasto i port. Nazwali je Casa Branca — czyli biały dom. Różne koleje losu przechodziło miasto — portugalska nazwa przetrwała do dzisiaj, choć w hiszpań-

ALICJA WIELGOŁAWSKA — C. D. ze str. 1

CZERWONE

W ankiecie miesięcznika „Jazz" „Czerwone Gitary" uznane zostały za najlepszy zespół młodzieżowy ubiegłego roku. A obecnie, w konkursie Rozgłośni Harcerskiej na najlepszy long-play zdobyli pierwsze miejsce.

O ich ogromnej popularności świadczy również fakt, że mają w Polsce ponad 200 „Fan Clubów", grupujących swych entuzjastów i sympatyków. „Czerwone Gitary" zamierzają wkrótce stworzyć jedyny w kraju „Fan Club-Central", czyli jakby centralę, skąd szłyby wszystkie materiały, informacje, fotosy i teksty piosenek do licznych klubów rozsianych w Polsce.

„Czerwone Gitary" startowały najpierw jako zespół gitarowy pod nazwą „Pięciolinie". W styczniu 1965 r. zaprezentowali się już jako „Czerwone Gitary" najpierw w zimowym, a potem w letnim „Non Stopie" w Sopocie. Wylansowali wtedy takie przeboje jak: „No, bo ty się boisz myszy", „Matura" i „Kto lepszy".

Początkowo w zespole grali: Bernard Dornowski, Krzysztof Klenczon, Jerzy Kossela, Seweryn Krajewski, Jerzy Skrzypczyk i Henryk Zomerski. Na przełomie roku 1965—66 odszedł z zespołu Henryk Zomerski, a w kwietniu 67 Jerzy Kossela. Pozostała czwórka, niezwykle uzdolnionych muzycznie i wokalnie chłopców, opracowała drugi program i oryginalne aranże. Chłopcy skomponowali wiele własnych, nowych melodii, dokupili niezbędny sprzęt, wzbogacili efekty świetlne i plastyczne i, w nie spełna kilka miesięcy, od ostatniej zmiany zespołu, podbili Polskę!

Sympatyczni chłopcy z „Czerwonych Gitar" specjalnie dla was ujawniają niektóre „tajemnice" swego życia. A że są skromni i o sobie mówić nie lubią, więc mówią jeden o drugim:

BERNARD DORNOWSKI

KRZYSZTOF KLENCZON O BERNARDZIE DORNOWSKIM

BERNARD jest najlepszym z nas wszystkich sportowcem. Najwięcej pasjonuje go piłka nożna. Wmawia nam, że gdyby chciał, mógłby być mistrzem na boisku. Ale my wiemy, że Bernard poza „szmacianką", która grywał na podwórku, jeszcze wtedy, gdy mu zęby wypadały — to piłki nie dotknął nie tylko nogą, ale i ręką. Natomiast świetnie gotuje, bo skończył Liceum Gastronomiczne. Jakie potrawy mu się udają? No... Oczywiście, te najbardziej wyszukane: bigos, jajecznica, herbata...

KRZYSZTOF KLENCZON

BERNARD DORNOWSKI O KRZYSZTOFIE KLENCZONIE

KRZYSIEK ma w domu trzy psy: collie, zwaną „Bessie", owczarka podhalańskiego „Zbója" i owczarka niemieckiego „Tarzana". Psy są tak wyćwiczone, że jak Krzysztof nastawia magnetofon i bierze gitarę do ręki, to one.. wyją na różne tony. I w ten sposób Krzysztof ma zawsze najlepszy „chórek" jako tło do swoich piosenek. Poza tym skończył Liceum Nauczycielskie i pewnie dlatego lubi mieć długie wakacje. Wyjeżdża wtedy na Mazury z żaglówką. Oczywiście psy i gitarę zabiera z sobą.

JERZY SKRZYPCZYK O SEWERYNIE KRAJEWSKIM

SEWERYN tylko wygląda ładnie, ale wcale nie jest taki przystojny jak sądzą dziewczyny. Kiedyś, gdy jeszcze obaj chodziliśmy do tego samego Liceum Muzycznego w Gdańsku, to ja byłem lepszy. Nie rozumiem, dlaczego teraz on ma największe powodzenie. Może dlatego, że ostatnio ćwiczy kulturystykę i podnoszenie ciężarów. Tylko, jakie są te wyniki, pożal się Boże! W rwaniu i podrywaniu tylko... 25 kg. Mało, no nie? Żeby chociaż osiągał tyle, ile waży dobra dziewczyna.

SEWERYN KRAJEWSKI

W dalekim Maroku przedszkola należą jeszcze do rzadkości. Jest to wynik długoletnich rządów kolonizatorów portugalskich, a później francuskich. Ogromne zacofanie kraju nielatwo dziś odrobić. Na to trzeba pieniędzy i... wykształconych kadr wychowawczych. Z dużą pomocą przyszła młodemu państwu międzynarodowa organizacja UNICEF.

Na zdjęciu widzicie właśnie maluchów przed nowo zbudowanym przedszkolem.

Foto — autora

skim brzmieniu: Casablanka. Jeszcze w 1907 roku liczyła zaledwie 25 tysięcy mieszkańców. Kiedy jednak Maroko zajęli Francuzi — w tym właśnie mieście ulokowali swoje interesy. Przez port wywozili bogactwa kraju, tu także zaczęli budować swoje banki, biura, domy, by łatwiej im było rządzić zagarniętym krajem. Stała się Casablanka milionowym miastem. Ale jeszcze dzisiaj doskonale widać, czym różnił się przepych kolonizatorów — od biedy Marokańczyków. Prawie 10 proc. ludności miasta mieszka na przedmieściach, w komórkach sklejonych ze starych skrzynek, beczek, kawałków blachy i tektury. Wierzcie mi, że jest to widok naprawdę przejmujący — szczególnie w zestawieniu z wielkimi domami głównych ulic miasta. Takie przedmieścia nor widziałem zresztą w Maroku nie tylko w Casablance. To straszna pozostałość po kolonizatorach.

50 proc. ludności Maroka ma mniej niż 20 lat. A tylko 39 proc. dzieci i młodzieży chodzi do szkół podstawowych i liceów.

Kiedy chodziłem po ulicach Casablanki, co kilka minut zaczepiał mnie biedny, obdarty chłopak z małą drewnianą skrzyneczką, proponując czyszczenie butów. Jak się później dowiedziałem, ponad 20 tysięcy chłopców marokańskich w ten właśnie sposób usiłuje zarobić na zjedzenie czegoś. Niektórzy muszą pracować w inny sposób; widziałem dziewczynki usługujące w domach, widziałem małych chłopców, pracujących w polu. Ich rodzice są biedni, każdy grosz przyniesiony do domu pozwala rodzinie przeżyć. Nie chodząc więc do szkoły, bo ich na to nie stać, muszą ciężko pracować.

A oto zanotowana w moim reporterskim zeszyciku rozmowa z 14-letnią dziewczynką Sofią, mieszkającą na przedmieściu Casablanki.

— Jest nas jedenaścioro rodzeństwa — 5 sióstr i 6 braci. Ja urodziłam się jako trzecia...

— Chodziłaś do szkoły?

— Tak. Kiedy miałam 7 lat, zaczęłam się uczyć. Ale po trzech latach przerwałam naukę. Zaczęłam pracować w warsztacie krawieckim. Miałam wtedy 10 lat.

— Długo pracowałaś?

— Nie, tylko 7 miesięcy.

— Czy dlatego tak krótko, że byłaś za mała?

— Ze mną pracowała jeszcze młodsza dziewczynka. Ale musiałam wrócić do domu, żeby zająć się gospodarstwem.

— I nie chodziłaś już do szkoły?

— Nie miałam czasu. Musiałam w domu wszystko robić koło młodszego rodzeństwa.

— Opowiedz mi, jak teraz wygląda twój przeciętny dzień.

— Wstaję o godzinie szóstej, przygotowuję śniadanie dla całej rodziny. Potem im muszę podać. O ósmej idę do centrum...

Rozmowę z Sofią zanotowałem właśnie w centrum, gdzie od kilku miesięcy spędza 6 godzin dziennie. I tu chcę was wtajemniczyć w pewną ważną sprawę...

Być może ktoś z was słyszał o organizacji międzynarodowej, noszącej nazwę w skrócie UNICEF. Jest to fundusz pomocy dzieciom, szczególnie tych krajów, które od niedawna mają niepodległość. Także i Maroko korzysta z tej pomocy. Jedna z ważnych form działania UNICEF w Maroku są właśnie centra, gdzie dziewczęta nie chodzące do szkoły i kobiety uczą się czytać i pisać, uczą się szyć, gotować, poznają zasady higieny. I właśnie do takiego centrum chodzi także Sofia.

— W południe biegnę do domu, naprawiam wtedy odzież rodzeństwa, piorę i pomagam mamie w gotowaniu obiadu.

— A po obiedzie?

— Znowu idę do centrum. Wieczorem też mam zajęcie w domu.

— Czy masz czas, żeby iść do kina, albo się spotkać z koleżankami?

— Nie, jestem już zmęczona...

To mi powiedziała dziewczynka, która — jak i wy — chciałaby czymś zostać, chciałaby móc się bawić, mieć trochę czasu dla siebie. W jej życiu na razie jest to niemożliwe.

◆

Maroko jest pięknym krajem. Rosną tam smukłe palmy — zielone przez cały rok. Nawet w zimie. Ciekawe są obyczaje, często różne od naszych. Kiedy spojrzycie kiedyś na mapę Afryki, powędrujcie palcem tam, gdzie Ocean Atlantycki łączy się z Morzem Śródziemnym. To właśnie stamtąd wam przekazałem garść moich pierwszych wrażeń.

MACIEJ ZIMIŃSKI

Casablanka, styczeń 1968

GITARY

SEWERYN KRAJEWSKI O JERZYM SKRZYPCZYKU

JUREK jest z nas wszystkich najdowcipniejszy. Przynajmniej za takiego uchodzi. Bo przecież nikt z widzów nie wie o tym, że to właśnie my wymyślamy za kulisami te wszystkie dowcipne powiedzonka, które on wypowiada na scenie. Poza tym uważa, że jest pokrzywdzony przez los. Omijają go bowiem nasze sympatyczki, wbiegające podczas koncertu na scenę. Siedzi za daleko, zwykle w głębi sceny. Rekompensuje sobie tę stratę w ten sposób, że zmusza naszego elektryka, aby właśnie jego oświetlał podczas koncertu, najsilniej.

*

Jak zdążyliście się przekonać z tych krótkich wypowiedzi, chłopcy z „Czerwonych Gitar" mają duże poczucie humoru. Tacy są też na scenie i może dlatego udaje im się nawiązać miły i serdeczny kontakt z widownią. Ich słowne „przerywniki" podczas koncertu wywołują zawsze burzę zachwytu i entuzjazmu.

„Czerwone Gitary" lubią sobie czasem płatać niewinne figle. Najwięcej kawałów robią perkusiście, czyli Jurkowi Skrzypczykowi, np. sypią mu talk pomiędzy breack machinę (dwa uderzające o siebie talerze), a nieświadomy niczego Jurek, grając, wznieca całe tumany białego pyłu. Albo przywiązują mu do kotła (bęben) linę i podczas jego popisowego „bębnienia", powolutku, ciągnąc za linę, odsuwają bęben z zasięgu jego pałeczek. Jurek oczywiście nie gniewa się za te psikusy, bo wymyśla na kolegów jeszcze gorsze.

JERZY SKRZYPCZYK

„Czerwone Gitary" nie lubią tylko chuligańskiego rozrabiania na sali. Uwielbiają wszelkie objawy zachwytu i entuzjazmu, natomiast nie znoszą, gdy ktoś okazuje wyraźny brak dobrego wychowania. Zdarzyło się nawet raz, że Klenczon zszedł podczas występu ze sceny i wyprowadził za kołnierz pewnego podchmielonego i rozrabiającego widza. Innym razem, Skrzypczyk wprost ze sceny przemówił do kilku chuliganów, ośmieszając ich kompletnie. Cała sala poparła go oklaskami i chuligani wynieśli się jak niepyszni.

Tacy są chłopcy z „Czerwonych Gitar". Weseli, serdeczni i mili dla swych sympatyków, ale też kategoryczni, jeśli chodzi o dobre maniery widowni.

„Czerwone Gitary" dały prawie tysiąc koncertów występując dwadzieścia pięć razy w miesiącu. Nagrali dwa long-playe, a obecnie ukończyli trzeci. Poza Polską występowali w Czechosłowacji i na Węgrzech. Za miesiąc wyjeżdżają z koncertami do ZSRR. W lecie czeka ich prawdopodobnie Opole i „Dzień Piytowy" w Sopocie. W prezencie od nich dla was drukujemy dziś teksty ich najnowszych piosenek, nigdzie dotychczas nie publikowanych.

PIOSENKA „CZERWONYCH GITAR"

Słowa: JANUSZ KONDRATOWICZ
Muzyka: KRZYSZTOF KLENCZON

Gdy kiedyś znów zawołam cię

Gdy kiedyś znów
zawołam cię,
zawołam cię z daleka,
odpowie mi
gasnący dzień,
że dawno już nie czekasz.

La... la la la la... la la la...
la... la la la la... la la la...

Gdy w oczach twych
ogniki gwiazd
znów będę chciał zobaczyć,
przypomni mi
przelotny wiatr,
że inny już w nie patrzy.

La... la la la la... la la la...
la... la la la la... la la la...

Gdy któryś list
zatrzymam, by
nie wysłać go na próżno,
o wszystkim znów
zapomnisz i
powrócisz, lecz za późno!

La... la la la la... la la la...
la... la la la la... la la la...

Na powierzchni naszej planety odkryto zadziwiające budowle, rysunki, niezwykłe rzeźby, stare źródła pisane... Są one śladami nieistniejących już dziś cywilizacji. W wielu wypadkach uczeni nie potrafią wyjaśnić pochodzenia tych zagadkowych znalezisk. Kto był ich twórcą? W jakim celu zostały zbudowane lub narysowane?

NIC WIĘC DZIWNEGO, że w sytuacji, gdy rodzi się tyle pytań, nasuwa się myśl — czy przypadkiem ślady nieznanych cywilizacji nie są rezultatem działalności przybyszów z innych planet? Jest to przypuszczenie bardzo odważne, ale nie pozbawione realnych podstaw. Jeśli w przyszłości uczeni zdołają udowodnić, że kiedyś, w minionych epokach, odwiedzili naszą ziemię „Synowie Słońca", będzie to największą sensacją naukową wszystkich czasów. Zostawmy jednak ostateczną decyzję specjalistom, a zajmijmy się tymi zagadkowymi odkryciami, które już dziś dają wiele do myślenia.

W dżunglach centralnej Ameryki odnaleziono 30 lat temu niezwykłe rzeźby przedstawiające ludzkie głowy. Czyja ręka wykuła je w bazaltowym kamieniu? Wiadomo, że twórcami tych wielkoludów nie byli ani Majowie, ani Aztekowie. Stworzył je lud znacznie starszy, o którego kulturze prawie nic nie wiemy. Niezrozumiałe jest np., w jaki sposób ludzie ci, nie znający przecież koła, potrafili transportować dwudziestotonowe bloki skalne na odległość ponad 100 km?

Zagadka pierwsza – Jezioro Titicaca

NA POGRANICZU Peru i Boliwii, na wysokości prawie czterech tysięcy metrów nad poziomem morza, położone jest niezwykłe jezioro Titicaca. Na jego brzegach można znaleźć muszelki i resztki dawnej roślinności pochodzenia morskiego. A więc kiedyś jezioro było... morzem. I dziś woda w nim jest słona.

Na brzegach Titicaca znaleziono również ślady bardzo dawnej kultury. Najbardziej zadziwiającym znaleziskiem było odkrycie resztek mola. Prawdopodobnie zostało ono zbudowane w tych czasach, kiedy Titicaca było morskim zalewem. Molo może być fragmentem dawnego portu.

Jak wyjaśnić to zagadkowe przeobrażenie zatoki morskiej w wysokogórskie jezioro? Istnieje tylko jedna logiczna odpowiedź — zatoka „powędrowała" do góry w momencie gdy powstawał łańcuch górski Andów. O tym zdarzeniu opowiadają zresztą legendy i podania dawnych narodów południowoamerykańskich.

Zagadka druga – Miasto umarłych

NIEDALEKO jeziora Titicaca, wśród niebotycznych turni Andów znajdują się ruiny tajemniczego miasta — Tiahuanaco. Jest ono najstarszym miastem na świecie. Kiedyś, Tiahuanaco było potężną stolicą jakiegoś ludu o wysokiej kulturze. Nic nie wiemy niestety, o historii tego ludu — jak się rozwinął i w jaki sposób uległ zagładzie. Nasuwa się przypuszczenie, że lud ten przybył do nas z innej planety i nagle... zniknął.

Ruiny obejmują obszar kilku kilometrów. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, leżą ogromne bloki kamienne, które mogli dźwigać chyba tylko legendarni olbrzymi.

Wśród tych ruin prawie w całości zachowała się tzw. **Brama Słońca** — piękna, wspaniale zdobiona budowla. Jej wiek ocenia się na około 10 tys. lat!

Brama Słońca pokryta jest tajemniczymi hieroglifami. Przez długie lata różni uczeni próbowali odczytać znaczenie tych znaków, ale udało się to dopiero Erzłonowi w 1949 roku. Stwierdził on, że na „Bramie" wyryty został **astronomiczny kalendarz**. Prawdziwa sensacja wybuchła dopiero wtedy, gdy okazało się, że nie jest to kalendarz ziemski. Zamiast 365 dni uwzględnia on tylko 290. Duży cykl (rok) składa się z 12 mniejszych (miesięcy) — przy czym 10 „miesięcy" ma po 24 dni, a dwa po 25 dni.

Wielu specjalistów na darmo łamało sobie głowę, chcąc wyjaśnić tę zagadkę. A trzeba przyznać, jest się nad czym zastanowić. Ziemia bowiem **nigdy** nie obracała się szybciej niż dziś, i **nigdy** nie wykonywała 290 obrotów wokół swojej osi w ciągu jednego roku. Odwrotnie. Ziemia obraca się coraz wolniej. Obliczono nawet, że na każde 100 lat ruch obrotowy Ziemi zwolniony jest o 0,001 sekundy.

Kto i po co wyrył ten „nieziemski" kalendarz? Odpowiedź nie jest łatwa. A może jest to ślad przybyszów z innej gwiazdy, o których mówią podania Inków?

Zagadka trzecia – Gigantyczne rysunki

NA PÓŁNOC od imperium Inków istniała inna, stara kultura Naska. Nazwą tą określa się spory obszar równiny płaskowyżu.

Kilkanaście lat temu, w czasie robienia zdjęć lotniczych, odkryto na równinie niezwykłe, gigantyczne rysunki. Tajemniczość ich polega na tym, że są one widoczne dopiero z dużej wysokości. A więc znowu rodzi się pytanie, w jakim celu rysunki te zostały wykonane i dla kogo? Na pewno dla kogoś, kto potrafił latać. Gorzej jest z odpowiedzią na drugą część pytania. Możliwe, że rysunki miały jakieś znaczenie astronomiczne, a może były znakami orientacyjnymi dla nieznanych „lotników"? Ale czy mamy jakiekolwiek podstawy do przypuszczeń, że przed stuleciami, lub może tysiącleciami, możliwe były loty w przestworzach?

Zagadka czwarta – Tajemniczy opis

W STAROINDYJSKIM źródle pisanym „Samarangna Sudahara" opisane jest urządzenie tajemniczego statku:

„O tym, jak wykonać szczegóły latającego wozu, nie wyjaśniamy, ale nie dlatego, że jest to nam nie wiadome, ale dlatego, żeby zachować to w tajemnicy"

— czytamy w „Samarangna". — **„Nie ogłaszamy szczegółów dlatego, że poznane przez wszystkich, mogłyby posłużyć złu... Mocne i trwałe powinno być to ciało, zrobione z lekkiego materiału, podobne do wielkiego latającego ptaka"** — czytamy dalej. — **„Wewnątrz trzeba umieścić urządzenie z rtęcią, z żelaznym przyrządem podgrzewającym. Za pośrednictwem siły, która ukryta jest w rtęci, i która powoduje poruszanie się, człowiek znajdujący się wewnątrz tego wozu może przelecieć tym niezwykłym sposobem dużą odległość po niebie. Wóz rozwija siłę gromu dzięki rtęci..."**

Cóż tak ukrywali autorzy tego opisu przed ogółem? Co zaszyfrowali oni pod nazwą rtęci? Czy przypadkiem nie chodzi tu o ciężki metal koloru rtęci (kryjący w sobie siłę gromu), a którym mógł być po prostu uran?

Są to jednak tylko przypuszczenia, które być może nigdy nie znajdą potwierdzenia.

Na równinie Naska odkryto z samolotu dużej wielkości rysunki. Jaką spełniały rolę — dokładnie nie wiadomo.

Opracował STANISŁAW BOROWIECKI

Zagadka piąta –

Co zawierają teksty Majów?

DO DZIŚ nie wyjaśnione jest pochodzenie i historia państwa Majów które powstało nagle i rozkwitło między III a X wiekiem naszej ery. Obejmowało ono obszar dzisiejszego Hondurasu, Gwatemali i południowo-wschodniej części Meksyku. Majowie wznosili monumentalne budowle i świątynie w kształcie schodkowych piramid. Budowali obserwatoria, znali astronomię i pisali traktaty o ruchach ciał niebieskich, a szczególnie o planecie Wenus. Wiedza astronomiczna miała dla nich szczególne praktyczne znaczenie. Z jej pomocą dokładnie określali czas siewu, wypalanie dżungli itd. Dla tych gospodarskich celów posługiwali się dokładnym kalendarzem. Rok miał 365 dni i składał się z 18 miesięcy, po 20 dni każdy. Zostawało im ponadto 5 dni wolnych pod koniec każdego roku.

Majowie posługiwali się własnym pismem. Przez długie lata nikt nie mógł odczytać tego pisma. Sztuki tej dokonał kilkanaście lat temu radziecki uczony J. W. Knorozow który wskazał metodę czytania. W połowie 1960 roku radzieccy matematycy, pod kierunkiem akademika Sobolewa posługując się „mózgiem" elektronowym dokonali tłumaczenia trzech zachowanych tekstów.

I wtedy okazało się, że kapłani Majów posiadali jeszcze jeden tajny kalendarz. Zamiast 365 dni miał on tylko 260. A więc znowu zagadka, podobna do tej, wykutej na Bramie Słońca. Tajny kalendarz Majów nie da się wytłumaczyć żadnymi, znanymi cyklami w ruchu Ziemi, ani też innymi zjawiskami periodycznymi występującymi na naszej planecie.

Zagadka szósta –

Najbardziej sensacyjna!

WSZYSTKO, co do tej pory powiedzieliśmy o tajemniczych odkryciach, blednie w porównaniu z „szóstą zagadką". Otóż, w piramidzie Majów, znajdującej się pośród ruin miasta Palenque, odkryto na kamiennej podłodze dziwny rysunek. Gdy mu się dobrze przyjrzeć, można zauważyć kontury jakby pocisku, wewnątrz którego siedzi człowiek o charakterystycznym profilu Maja. Człowiek ten trzyma ręce na przyrządach służących do sterowania.

W przedniej części pocisk łączy się przewodem z otaczającą przestrzenią. Ten przewód służył do pobierania powietrza w czasie lotu rakiety. Można także zauważyć kanały, którymi powietrze (na rysunku artysta Majów przedstawia powietrze symbolicznymi trzema pęcherzykami) przechodzi przez cały pocisk. Z tyłu pocisku buchają jęzory płomieni. Ogień wydobywa się z jakiegoś skomplikowanego urządzenia.

Co sądzić o tym rysunku wykutym w kamiennej płycie przez nieznanego artystę? Czyżby to była tylko fantazja?

Postarajmy się rozszyfrować tę zagadkę z punktu widzenia współczesnej techniki. Łatwo zauważyć, że rysunek wyobraża, zresztą dość nieudolnie, latający aparat napędzany powietrzno-odrzutowym silnikiem. Siedzący pilot nie patrzy w okno, lecz w ściankę aparatu. Jeśli może coś zobaczyć, to tylko z pomocą przyrządów optycznych.

Ciekawe jest przedstawienie tego zagadkowego rysunku w wersji współczesnej (patrz rys.). Szkic wykonali Japończycy, pod kierunkiem profesora Iesuko Matcimury, który zajmuje się badaniem kosmicznych fenomenów odkrywanych na ziemi.

Pozostaje zasadnicze pytanie: czy przypadkiem cała ta historia nie jest mistyfikacją? Otóż nie. Kamienny rysunek naprawdę istnieje. Wycięty został z całym blokiem w jednej z tajnych komór piramidy. Pochodzi on sprzed 1300-1500 lat.

Nie znaczy to jednak, że przed 1500 laty ludzie latali w podobnych rakietach. Do tego celu potrzebna była cywilizacja o wysokim rozwoju metalurgii. Pozostałości „maszynowej" cywilizacji nie mogłyby przepaść bez echa. A takich śladów nigdzie nie znaleziono.

Rysunek w piramidzie Majów wykonany został zapewne według dużo wcześniejszych wzorów lub po prostu na podstawie podań czy legend. Niezwykły rysunek jest więc nadal nie rozwiązaną zagadką.

Czy Ziemię odwiedzili kiedyś przybysze z innych planet? To pytanie pozostaje nadal jeszcze bez odpowiedzi.

...ieze ślady NIEZNANYCH CYWILIZACJI

W tej piramidzie Majów, znajdującej się w ruinach ich miasta — Palenque — odkryto w jednej z zamaskowanych komór rysunek, wyryty na kamiennej płycie podłogi. Przedstawia on rakietę, wewnątrz której siedzi człowiek.

NIEZWYKŁY RYSUNEK W PIRAMIDZIE

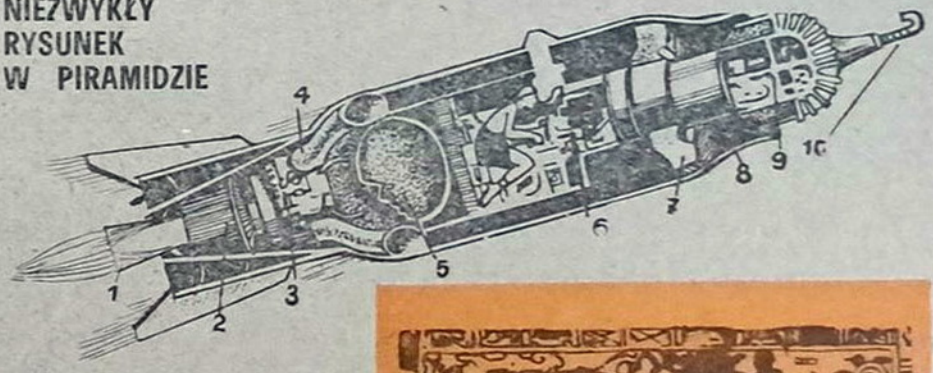

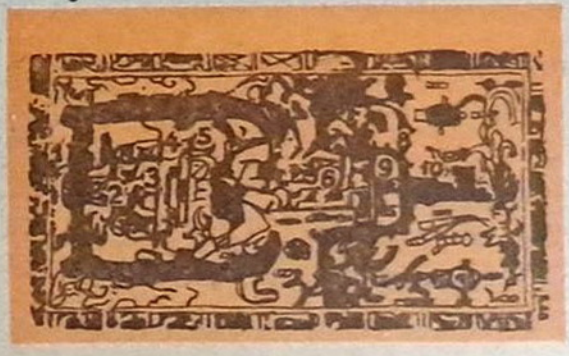

A oto niezwykły rysunek z piramidy Majów. Japończycy postanowili zinterpretować go pod kątem współczesnej techniki. Na rysunku oryginalnym, jak również na wykonanym przez Japończyków, cyframi oznaczono te same fragmenty poszczególnych urządzeń rakiety:
1 — dysza silnika; 2 — turbina gazowa; 3 — komora spalania; 4 — rury wlotowe do komory spalania, którymi przedostaje się powietrze; 5 — bak z paliwem; 6 — pulpit kierowania pojazdem; 7 — turbokompresor; 8 — wlot powietrza; 9 — system sterowania rakietą; 10 — antena.

ZŁOTO WŚRÓD KAMIENI

Mieszkańcy osady Leninsk w rejonie Czelabińskim (ZSRR) nie odrzucają z drogi kamieni, zanim ich dokładnie nie obejrzą. Zdarzyło się już bowiem nieraz, że podnosili z ziemi grudki czystego złota. Ostatnia grudka znaleziona została pod drzewem jabłoni i ważyła 90 gramów.

Miejscowa telefonistka podczas kopania w ogródku kartofli wrzuciła wraz z bulwami do kosza grudę złota o wadze 570 gramów.

TRESOWANY DZIK I OSWOJONA ŁANIA

NIEMAŁĄ ATRAKCJĘ mają wasi koledzy mieszkający we wsi Widzienisko, w powiecie Goleniów. Miejscowy leśniczy zaopiekował się niedawno znalezionym w lesie młodym dzikiem. Zabrał go do domu, karmił z butelki, oswoił i... wytresował. Dzik chodzi teraz z leśniczym po zakupy do miejscowego GS-u dzierżąc w pysku — ku uciesze dzieci, a nawet i dorosłych — torbę bądź koszyk. W sklepie dopomina się w swoisty sposób o łakocie, kostki cukru, herbatniki. Wykonuje rozkazy — „leżeć", „zostań tu", „poproś". Kiedy leśniczy na motorze lustrował rejony leśne, dzik biegł za nim, jak wytresowany pies.

W sąsiedniej wsi Miękowo przebywa natomiast oswojona łania. Zwierzę stało się pupilką całej wioski. „Zaprzyjaźniło się" z bydłem domowym, z którym razem chodziło jesienią na pastwiska, a obecnie trzyma się również zawsze w obrębie domostw. Łania jest tak oswojona, że przychodzi na zawołanie, je z ręki, wchodzi do mieszkań i dopomina się o przysmaki. Łanię podziwiają również turyści skandynawscy przejeżdżający przez wieś Miękowo szosą ze Świnoujścia do Szczecina.

Oto p. Korbecki z minimotocyklem w samym sercu rodzimej Warszawy — tuż przy Pomniku Nike.

JESZCZE O MINI — MOTOCYKLU

W nr 26 naszej gazety zamieściliśmy informację o „mini-motocyklu", którego konstruktorem jest p. Korbecki.

MIŁO NAM DONIEŚĆ, że p. Korbecki jest rodowitym warszawiakiem. Niedawno otrzymaliśmy list p. Korbeckiego, w którym pisze:

„Przy motocyklu pracowałem 2 lata. W efekcie tej ciężkiej pracy, która pochłaniała całe dnie, powstał mini-motocykl. Jest to **najmniejszy, użytkowy, (nieprymitywny)** motocykl świata. Mimo tak minimalnych wymiarów (57 cm długości, wysokość 35 cm, ciężar ogólny nie przekracza 24 kg) komfort jazdy został całkowicie zachowany.

Przejechałem swoim mini-motocyklem trasę z Paryża do Frankfurtu, która wynosi 700 km, w 20 godz. Czułem się świetnie. Jeśli myślicie, że kolana bolały, to nieprawda, bo tradycyjna pozycja kierowcy została całkowicie przesunięta. Nogi są ustawione po obu stronach osi przedniego koła, a nie pod kanapą, tak jak w normalnym motocyklu. I tu tkwi sekret wygody jazdy. Mini jest też 2 razy lżejszy od rewelacyjnej Hondy, tej właśnie celowo najmniejszej, przeznaczonej do samochodu.

Na wyprawie zagranicznej spotykałem się z podziwem ludzi, w tym wielu świetnych znawców motoryzacji".

Cieszymy się, że p. Korbecki napisał do nas. Dzięki temu wiemy już, że najmniejszy motocykl jest dziełem naszego rodaka. Konstruktorowi w waszym i swoim imieniu życzymy dalszych ciekawych podróży na mini-motocyklu.

(rj)

WCZORAJ

MIASTO to i rzekę Dunajec znałem od dawna. Przeżyłem w Nowym Sączu ponad dwadzieścia lat. Tu byłem dzieckiem i prowadzony za rękę przez ojca poznawałem ulice i domy, uczyłem się nazw ptaków i zwierząt, zadawałem pierwsze pytania.

Ledwie zacząłem chodzić do szkoły, jak dawniej mówiono — powszechnej, kiedy we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. Pamiętam jak dziś: do mamy przybiegła sąsiadka, która usłyszała komunikat radiowy o bombardowaniu Warszawy przez Niemców. Obie kobiety wybuchły płaczem, nie rozumiałem tego, nie wiedziałem, dlaczego płaczą, dla mnie było najważniejsze, że nauka w szkole jest przerwana, i że gdzieś pojedziemy. Wydawało mi się, że czekają mnie nieprawdopodobne przygody. Miasto opustoszało, ludzie uciekali przed Niemcami, zostawiając dobytek na pastwę losu. Uciekliśmy i my, to znaczy mama, ojciec i ja. Na gospodarstwie została tylko babcia, która powiedziała, że przeżyła już kilka wojen i nigdzie się nie ruszy.

Kiedy wróciliśmy po kilku miesiącach, w mieście szalał terror niemiecki. Po mieście chodzili obcy żołnierze, w innych mundurach. Powiedziano mi, żebym się trzymał od nich z daleka. Okna zasłanialiśmy na noc czarnym papierem, od zmroku nie wolno było wychodzić na ulicę pod groźbą kary śmierci. O tym, co to jest śmierć, niewiele wiedziałem, po prostu nie wyobrażałem sobie tego. I kiedy w domu, po cichu opowiadano o 93 osobach rozstrzelanych pod miastem za udział w nielegalnej organizacji, która powstała już w miesiąc po wybuchu wojny, interesowało mnie tylko, czy byli wśród nich znajomi. Wiem, że wy jesteście inni, że rozumiecie teraz więcej niż ja wtedy rozumiałem. Byłem małym dzieckiem, w małym miasteczku i nie zdawałem sobie sprawy z tego, że przeżywam najcięższy okres w dziejach swojego kraju.

W 1944 roku, w styczniu, wiedziałem już nieco więcej. Miałem za sobą kilka doświadczeń, które nauczyły mnie wielu rzeczy, których wy — na szczęście — nie musicie się uczyć. Podrosłem na tyle, że zamiast do szkoły posłano mnie rok wcześniej do kopania rowów i bunkrów, które miały służyć hitlerowcom jako pierwsza linia obrony miasta. Ale stało się inaczej. Właśnie w styczniu 1944 roku wyleciał w powietrze stary zamek Jagiellonów, górujący nad miastem. Wyleciał w powietrze grzebiąc pod gruzami hitlerowski oddział minerski, w sile 350 ludzi. Ludzie ci przygotowywali w podziemiach zamku ładunki wybuchowe, które miano potem założyć na terenie całego miasta i wysadzić je w powietrze, tak jak to zrobiono z pobliskim Jasłem. Partyzanci ubiegli Niemców. Specjalna ekipa bojowa umieściła między setkami skrzyń z amunicją i materiałami wybuchowymi niewielką bombę zegarową. Miasto zostało uratowane i po kilku dniach wyzwolone.

Dla mnie oznaczało to pójście do szkoły. Zrobiłem to bez oporu. Miałem wtedy już 15 lat i rozumiałem wiele. W czasie wojny człowiek szybko się uczy różnych rzeczy...

Potem, po kilku latach zdałem maturę i wyjechałem z mojego miasta na zawsze. I zdawało mi się wtedy, że ludzie, domy, ulice, rzeka pozostaną zawsze takie same, takie, jakie pamiętałem z okresu najszczęśliwszego w życiu każdego człowieka — z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości.

MOJE MIASTO

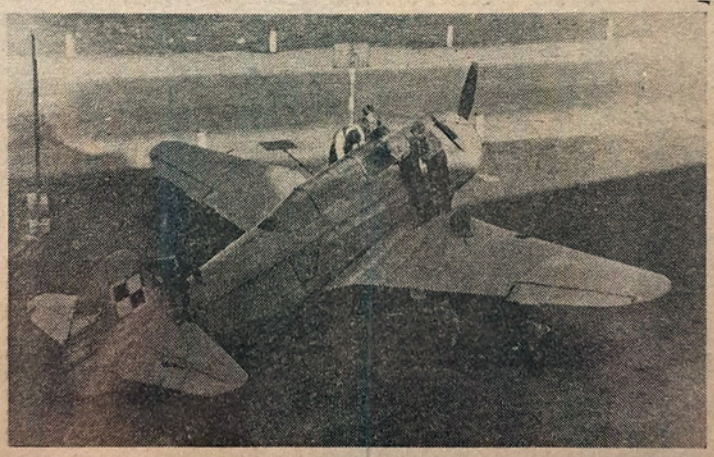

Niby nic: samolot ofiarowany przez lotników dzieciom miasta. Dla nich to rzecz zwyczajna. Obok samolotu biegnie nowa szosa prowadząca na nowy most nad Dunajcem. Tylko, że dziesięć lat temu nie było w tym miejscu ani samolotu, ani tej szosy, ani tego mostu. A dwadzieścia cztery lata temu leżała tu ogromna góra gruzu, która kiedyś była zamkiem.

Największe szczęście miał Andrzej. Wygrzebał gdzieś w mule starą butelkę od mleka, umył ją pękiem trawy na kiju i złapał... kilkadziesiąt żab. To znaczy będą z tego kiedyś żaby, bo na razie to tylko ikra. Zuchy postawią butelkę na oknie w harcówce i będą obserwować rozwój wszystkich pośrednich stadiów tego dziwnego stwora wodnego.

Dziś

JESTEM znowu w moim mieście. Chodzę po tych samych ulicach, oglądam znane mi miejsca i czuję się jak ktoś obcy. Nie poznaję niczego i nikt mnie nie poznaje. Przyjechałem tu, aby robić dla was fotoreportaż o harcerzach, którzy wybrali się wiosną nad rzekę. Myślałem, że wyruszymy razem za miasto i ja im opowiem, jak to tutaj dawniej bywało. Tymczasem to oni mi opowiadają, oni mnie prowadzą, gdyby nie oni, to bym chyba zabłądził.

Harcerzy jest dwóch: drużynowy drużyny zuchów Tomek Kalisz i przyboczny Andrzej Kuligowski. Wzięli z sobą kilku zuchów: Andrzeja, Wojtka, Heńka, Tadka i Wieśka. Wszyscy są z jednej drużyny: II DH „Podhalańskiej" — wchodzącej w skład szczepu „Lachy". Umówiliśmy się oczywiście na zamku, który został częściowo odbudowany.

Park im. Wojska Polskiego. Chłopcy z dumą pozują do zdjęcia przed muszlą koncertową. I znowu jak gdyby nigdy nic: jest park, to i musi być amfiteatr na wolnym powietrzu. A ja pamiętam, co tu było: dzikie chaszcze, zrujnowany kort tenisowy, pastwisko i nic więcej. Przychodziłem tu na wagary (co mi się zresztą nie opłaciło i drogo kosztowało: złapali mnie tutaj „obcy" z innej ulicy i stłukli na kwaśne jabłko!).

Patrzymy przez lornetkę na panoramę miasta od strony rzeki. Chłopcy pokazują mi budynki, których nie znam. Zapowiadają powrót do miasta przez odbudowane „gęsie planty", obiecują pokazać nowe dzielnice, wspaniały hotel, odnowiony rałusz...

Ja zaś widzę przez cały czas biedne prowincjonalne miasteczko mojego dzieciństwa, które nie wiadomo kiedy stało się dużym, nowoczesnym miastem.

A dla nich było ono zawsze takie, jakie jest teraz. I pewnie takie pozostanie.

Smutne wspomnienie sprzed dwudziestu czterech lat. Tutaj właśnie Niemcy rozstrzelali 180 polskich patriotów. W całej Sądeczyźnie zginęło w czasie okupacji ponad 20 tys. ludzi., czyli prawie tyle, ile samo miasto liczyło mieszkańców!

Chłopcy nacięli w wiklinie bazi i złożyli wiązankę u stóp pomnika.

Tekst i zdjęcia
JERZY DĄBROWSKI

PYTAJ — ODPOWIEMY

Oglądam nieraz w telewizji uroczystości wojskowe, podczas których oficer prezentuje broń — szablę, albo generał dotyka szablą ramion podchorążych, pasując ich na oficerów. Bardzo to pięknie wygląda. Chciałbym poznać historię tej rzadko już dziś spotykanej broni.

TOLEK STOLARSKI
z Łodzi

HISTORIA POLSKIEJ SZABLI

PIĘKNA, acz nieco archaiczna broń sieczna — szabla — używana dziś, jak pisze Tolek, podczas uroczystości wojskowych, ma swoją długą historię. Używano już jej w starożytności. Do XVI wieku bronią polskiego rycerstwa, podobnie jak zachodnioeuropejskiego, był miecz. Szablę traktowano jako gorszy rodzaj oręża — używały jej oddziały piechoty, straże miejskie, kupcy do samoobrony w czasie podróży. Przełom w tej dziedzinie nastąpił w okresie panowania Stefana Batorego, kiedy do Polski, poprzez Węgry, dotarła turecka krzywa szabla, przyjmując się powszechnie i wypierając z użytku w szeregach kawalerii miecze. Od XVI w. do rozbiorów szabla w rękach polskich przechodziła różne zmiany, głównie w zakresie budowy rękojeści.

Jednak bardzo szybko po „zadomowieniu się szabli" w naszym kraju, ze skrzyżowania elementów broni zachodnioeuropejskiej, wschodniej i naszej rodzimej, powstały dwa zasadnicze typy szabli, które można określić mianem polskich. — Szabla z otwartą rękojeścią, używana w zasadzie do stroju cywilnego, często bogato zdobiona i zwana **karabelą**, oraz szabla z rękojeścią zamkniętą, najczęściej prosta w formie i masywna, używana do boju.

Bojowe szable z rękojeścią zamkniętą nazywano niegdyś **pałaszami**, a wszelkie szable bojowe określano mianem **korda**. Kordem nazywano także krótką, szeroką szablę stanowiącą część wyposażenia myśliwskiego przy łowach na grubego zwierza. Z czasem, kord myśliwski przekształcił się w rodzaj długiego sztyletu, a nazwa — **w kordelas**.

Pochodną od słowa kord jest także **kordzik**. Tym mianem nazwano przed wojną w Wojsku Polskim ozdobne sztylety oficerów marynarki, lotnictwa i broni pancernej, noszone przez pancerniaków i lotników do mundurów galowych i wyjściowych, a przez marynarzy — do wyjściowych.

Do galowego munduru oficerów marynarki noszona była przed wojną **szpada** (broń sieczna o prostej i ostro zakończonej głowni). Wspomnieć tu trzeba, że szabla do munduru wyjściowego przysługiwała przed wojną oficerom wszystkich broni, rodzajów wojsk i służb. W kawalerii, artylerii i niektórych innych rodzajach wojsk szabla miała nie tylko charakter symbolu godności oficerskiej, lecz także broni bojowej.

Obecnie, symboliczna pamiątka broni białej — kordzik — przysługuje do galowych mundurów oficerom lotnictwa i marynarki. W wojskach lądowych używane są nadal szable, oczywiście tylko przy specjalnych okazjach, jak np. promocja oficerów. Nosza je także w czasie uroczystych wystąpień oficerowie kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego.

Jedynymi w Polsce zakładami, które wykonują dziś niewielkie zamówienia (po kilkadziesiąt lub kilkaset sztuk) tej pięknej, białej broni, jest znana z doskonałych wyrobów metalowych fabryka „Gerlach" w Drzewnicy.

(j.k.)

Foto: J. Dąbrowski

Proponujemy wam zabawę, w trakcie której możecie sprawdzić, jakie cechy postawy moralnej człowieka cenicie, jakie potępiacie. Uszeregowując je kolejno otrzymacie swoją skalę wartości moralnych. Macie więc możliwość sprawdzić swoje poglądy na ten temat.

Jak ich oceniasz?

BOŻENA wyjechała na obóz harcerski. Rozbito namioty w lesie nad jeziorem. Do obozu dojeżdża się do wsi, po czym już tylko pieszo można dojść do jeziora. Z krańca jeziora położonego najbliżej tej wioski widać już obóz Bożeny, aby jednak do niego dotrzeć, trzeba obejść brzegiem wokoło jezioro.

Mama Bożeny pracuje w przedsiębiorstwie prowadzącym poszukiwania geologiczne i tygodniami nie ma jej w domu. Tak było też tego dnia.

Z młodszym braciszkiem Bożeny pozostała w domu starsza o rok siostra. Pech chciał, że biegnąc do sklepu poślizgnęła się i złamała nogę. Zabrano ją do szpitala i dziecko pozostało bez opieki. Zdążyła jednak poprosić swoją koleżankę Ewę, aby jak najszybciej ściągnęła Bożenę do domu.

Ewa dojechała do wsi późnym wieczorem. Kiedy dotarła nad brzeg jeziora, zapadał już zmrok. Na domiar złego, nadciągnęły czarne chmury zwiastujące burzę.

Przy brzegu jeziora zauważyła przycumowaną łódkę, a w niej rybaka. Poprosiła go o przewiezienie na drugą stronę. Rybak wysłuchał, spojrzał na niebo, na podnoszącą się na wodzie falę, podrapał się w czoło i powiedział:

— Nie zawiozę cię do obozu. Burza idzie. Ciebie utopię i sam utonę.

Rada nierada ruszyła Ewa wzdłuż brzegu. Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno. Po chwili rozszalała się burza. Ewę ogarnął strach. Niezbyt dobrze znała drogę, a w ciemnościach łatwo zabłądzić.

Szła jednak dalej. Była przyjaciółką siostry Bożeny, obiecała jej, że zrobi wszystko, aby malcowi zapewnić opiekę od następnego ranka. Wiedziała, jak bardzo koleżanka na nią liczy.

Traf chciał, że po dwóch kilometrach napotkała jadącego na koniu leśniczego. Zwróciła się do niego z prośbą, aby zaprowadził ją do obozu. Kategorycznie odmówił.

— Kolacja czeka na mnie w domu, lubię jeść zawsze o tej samej porze — powiedział.

Do wartowni zgrupowania obozów Ewa dotarła już dobrze po północy. Wartę trzymał Staszek. Kiedy wytłumaczyła mu o co chodzi, żachnął się:

— Co ty sobie wyobrażasz! Ja będę ryzykował dla jakiejś twojej koleżanki? A jeśli ty to wszystko zmyśliłaś i chcesz na przykład gwizdnąć flagę? Co ja z tego będę miał?

Dopiero, kiedy Ewa dała mu dwadzieścia złotych na czekoladę, Staszek zmienił zdanie i wpuścił ją. Pokazał jej nawet drogę do podobozu dziewcząt.

Niestety, przy bramie podobozu stała kolejna wartowniczka, Maryla. Ewa jeszcze raz opowiedziała, z czym przyszła.

— To bardzo trudna sprawa — oświadczyła Maryla. — Wczoraj zachorowała u nas jedna z dziewczynek na szkarlatynę. Zarządzono kwarantannę, zakazane są wszelkie odwiedziny. Jeżeli jednak masz taką ważną sprawę, to możesz wkraść się do namiotu Bożeny na własną odpowiedzialność. Ja ci nie pomogę, ale i przeszkadzać nie będę. Nie mam zamiaru się narażać.

Ewa zaryzykowała. Kiedy jednak wyrwanej ze snu Bożenie opowiedziała o nieszczęśliwym wypadku w domu, spotkała się z bardzo przykrą reakcją:

— Po to mnie budzisz w środku nocy, żeby mi opowiadać takie historie! A zresztą, dlaczego mam rezygnować z dalszego pobytu na obozie...

Jak oceniasz bohaterów tej historyjki? Ewę, rybaka, leśniczego, Staszka, Marylę, Bożenę? Weź kartkę i ołówek i uszereguj ich według twojej oceny. Kogo cenisz najwyżej, wymień na pierwszym miejscu. Ten, którego najostrzej potępiasz, znajdzie się na miejscu ostatnim. Odszukaj potem na str. 16 rozszyfrowane wartości, które prezentują poszczególne postacie.

(j.m.)

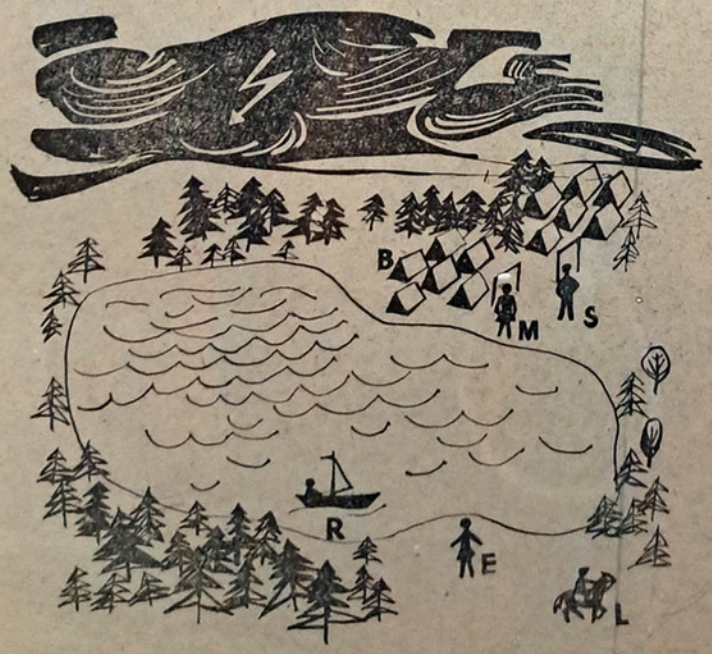

STRZELAŁEM z MISTRZYNIĄ ŚWIATA

UMÓWIŁEM się z mistrzynią świata w strzelaniu z łuku — panią Marią Mączyńską. Mieliśmy się spotkać, oczywiście, na treningu. Myślałem, że odmówi, więc zagaiłem od razu, że kiedyś w szkole trafiłem z własnoręcznie wykonanego łuku w samą dziesiątkę z odległości trzydziestu kroków i otrzymałem od kolesiów miano Robin Hooda.

— W takim razie proszę się zjawić o godzinie osiemnastej, w szkole przy ulicy Górnośląskiej, w Warszawie. Może pan przyjść bez łuku, strzelać będziemy z mojego...

Nie muszę chyba dodawać, jak bardzo się ucieszyłem. Będę strzelał z samą mistrzynią świata! Gdyby tak udało mi się ją pokonać, na pewno awansowałbym do kadry narodowej i, kto wie, na kogo jeszcze mógłbym wyrosnąć...

I oto zjawiam się w szkole. Jest późne popołudnie, lekcje dawno dobiegły końca. Tylko na jednym z długich korytarzy odbywa się trening najmłodszych łuczników z klubu sportowego „Łączność". Ale młodzi kończą już zajęcia, przebierają się i pomału opuszczają korytarz. Za chwilę powinna się zjawić mistrzyni. Zaczynam się trochę denerwować. A jeśli nie trafię?... E, tam nie trafię. Co to za sztuka strzelać z łuku? Wystarczy mieć dobre oko.

— Czy jest pan z kimś umówiony?...

Domyślam się, że stoi przede mną Mieczysław Nowakowski, współtwórca potęgi naszego kobiecego łucznictwa, trener pani Mączyńskiej.

— Czekam na mistrzynię świata.

Mistrzyni świata Maria Mączyńska
Foto CAF

— Zaraz się zjawi. Jeśli pan chce, to możemy przygotować stanowisko.

Jakże bym nie chciał. Pod jedną ścianą ustawiamy stojak ze słomianką, do której przyczepiamy tarczę potem odmierzamy odległość 30 metrów, wreszcie pan Nowakowski wyciąga z pokrowca łuki. I w tej chwili ogarnia mnie lekkie przerażenie. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wspaniałego sprzętu...

Jak to się kiedyś strzelało

ŁUK jest najstarszą bronią człowieka, używaną już przed wielu tysiącami lat. Używali go myśliwi i wojownicy, dorośli i mali chłopcy. Pierwsze łuki były na pewno bardzo prymitywne. Ot, zwykły kij, cięciwa z włókna roślinnego i strzały z patyków,

zakończone grotem. Ale mimo tej prostoty był doskonałą bronią. Potem, na przestrzeni wieków, łuki coraz bardziej udoskonalano. Do konstrukcji zaczęto używać specjalnych gatunków drewna. Strzały szybowały coraz dalej. Przy okazji — ciekawostka. Rekord odległości w strzelaniu z łuku wynosi dokładnie 973 metry! Myślicie zapewne, iż wynik ten został ustalony niedawno. Srogo się mylicie. Rekord ten został ustanowiony w roku 1698 przez sułtana tureckiego Sulima II. Jaki wspaniały łuk musiał mieć ów władca, skoro dziś najwięksi mistrzowie, dysponujący najnowocześniejszym sprzętem, nie mogą się zbliżyć do tego rekordu! Pan Nowakowski mówi mi, że wyczytał niedawno, iż współczesny rekord odległości wynosi tylko 652 metry i należy do zawodnika amerykańskiego.

Cóż — zgodzić chyba się trzeba z faktem, iż dawniejsze łuki były lepsze, sprawniejsze i — jak to się fachowo określa — bardziej twarde. Za to współczesny łucznik na pewno strzela celniej. Służą temu specjalne urządzenia celownicze, które zamocowuje się do łuku. Dzięki nim strzelanie z odległości, na przykład, 90 metrów w środek tarczy, nie jest znowu aż takim wyczynem.

Ale oto zjawia się sama mistrzyni. Jest szczuplutka, niezbyt wysoka i naprawdę wcale nie wygląda na najlepszą łucznicz-kę świata. Pod pachą pokrowiec ze sprzętem, to znaczy z łukiem. Zaczynam mieć nadzieję, że jednak tak źle nie wypadnę...

Gdyby nie Wanda

MISTRZYNI rozpoczyna lekką sportową rozgrzewkę i równocześnie udziela mi wstępnego wywiadu...

(lekki truchcik, oczywiście nadaże n)

...Gdyby nie Wanda, nigdy chyba nie zetknęłabym się z łukiem. Ona mnie namówiła, piętnaście lat temu. To było w Krakowie. Uczęszczała na trening do klubu „Energetyk", a ponieważ nie chciało się jej chodzić samej, namawiała i mnie. Poszłam. Patrzę — strzelają. Strzeliłam i ja. Ot, tak sobie dla hecy. I proszę sobie wyobrazić — trafiłam w sam środek tarczy!...

(podskoki w miejscu, jeszcze nadążam)

— Ale ci się udało — mówił trener. — Spróbuj jeszcze raz. Wycelowałam i znowu strzała siedzi, gdzie trzeba, aż sama się zdziwiłam.

— Ho, ho — powiedział trener. — Pewnie kiedyś strzelałaś...

— Ani razu — mówię. — Wtedy on się z kolei zdziwił.

Strzeliłam potem jeszcze raz, i jeszcze raz, a w cztery miesiące później wystrzeliłam wicemistrzostwo Polski.

(skłony — nie mogę, bo brzuszek)

— ...I tak się właśnie zaczęło. Jak w życiu, normalnie. Tylko potem chciałam zrezygnować, bo widzi pan, nie potrafiłam zamknąć... lewego oka. Zamykałam prawe i łuk trzymałam w prawej ręce, a łatwiej jest trzymać w lewej, ale wtedy trzeba umieć zamknąć lewe oko, a otworzyć prawe... Niech pan się zapyta trenera Nowakowskiego, ile z tym było kłopotu, ale w końcu udało się...

A teraz sobie postrzelamy. Pan może być pierwszy.

— Poczekam — odpowiadam grzecznie. — Kobiety mają pierwszeństwo (a tak naprawdę, to chcę podejrzeć, jak się trzyma ten nowoczesny łuk, i jak się zakłada strzały, i jak celuje).

Foto: M. Szymkowski

O, rany Julek — szafa!

PANI MĄCZYŃSKA staje bokiem do tarczy, w lewej ręce trzyma łuk, prawą zakłada metalową strzałę na cięciwę. Chwila bezruchu... Teraz trzeba uważnie wycelować i... już strzała pędzi do celu. Łatwo to się pisze, ale wiem, że w czasie tych kilkudziesięciu sekund zawodniczka była maksymalnie skoncentrowana. Zauważyłem też, że wszystkie jej ruchy na stanowisku były bardzo zharmonizowane, jakby automatyczne. Potem następuje drugi strzał i trzeci... Koniec pierwszej serii.

Idziemy do tarczy sprawdzić celność. Wszystkie trzy strzały są przedniej marki, wprawdzie nie tkwią w samym centrum, ale wiem, że w następnych seriach nastąpi mała poprawka w celowniku i będzie o wiele lepiej.

— Kolej na pana.

Chwytam łuk — szczyt techniki. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie miałem w ręce. Jest to najlepszy łuk świata, znanej firmy „HOYT". Cena takiego łuku wynosi kilkanaście tysięcy złotych. Wykonany on jest ze specjalnego plastiku i klejonego drzewa mahoniowego. Cięciwa jest z dakronu (sztuczne włókno), z boku mały precyzyjny celownik. Uchwyt jest ściśle dopasowany do dłoni zawodniczki. Strzały są metalowe z wszczepionymi lotkami.

Staję w lekkim rozkroku, wyciągam lewą rękę, prawą chcę naciągnąć cięciwę, ale nie mogę. — Cóż to — siły mi brak?... Natężam muskuły, mrużę oko, zdaje mi się, że widzę w celowniku czarny punkcik na tarczy. Puszczam strzałę, która furkocze w powietrzu, i nagle... huk. Moja strzała zamiast trafić w tarczę, uderza w szafę, stojącą kilka metrów z boku od tarczy. Wszystkiego mógłbym się spodziewać, tylko nie takiego pudła. Nawet nie trafiłem w wielką słomiankę i to z odległości tylko 30 m. I w dodatku, z takiego doskonałego łuku! Płonę jak piwonia. Trener Nowakowski próbuje mnie pocieszać.

— Pierwszy raz — mówi. — Ale coś mi się wydaje, że z pana nic nie będzie. Nerwy... A nerwowi nie bardzo się nadają do tego sportu. Ale za to mieliśmy huk. Jeszcze nie zdarzyło się, żeby któryś z moich zawodników trafił w szafę.

— Jeśli pan pragnie rewanżu, to umówmy się jeszcze raz. Trenuję dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki — uśmiecha się pani Maria.

Wykręcam się. Jakoś nie mogę dorównać mistrzom. Grałem kiedyś z mistrzem Polski w szachy, który po 10 ruchach na szachownicy zaproponował mi remis (oczywiście, kurtuazja). Potem zapragnąłem wygrać w ping-ponga z mistrzem Zbigniewem Calińskim. Przegrałem seta do czterech. Teraz znowu nie trafiam do tarczy.

A gdyby tak stoczyć pojedynek z najlepszym szablistą wszech czasów Jerzym Pawłowskim? Nazywam się tak jak on. Może bym wygrał. To jest myśl... Muszę do mistrza zadzwonić...

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

Lepsza od Robin Hooda

ZAWODY ŁUCZNICZE

ŁUCZNICTWO sportowe można uprawiać od najmłodszych lat. Zawody rozgrywa się w kategoriach młodzików, juniorów i seniorów. Startują dziewczęta i chłopcy. Seniorzy strzelają na zawodach z następujących odległości. PANIE: 70 m, 60 m (dystans długi) oraz 50 m i 30 m (dystans krótki). PANOWIE: 90 m i 70 m (d. dł.) oraz 50 m i 30 m (d.kr.). Młodzicy i juniorzy strzelają z odległości krótszych.

Zawody rozgrywane są w ciągu dwóch dni. Najpierw strzela się odległości długie, potem krótkie. Z każdej odległości zawodniczka, bądź zawodnik, oddaje 12 serii strzałów (1 seria wynosi 3 strzały). A więc, żeby zaliczyć 12 serii, trzeba oddać 36 strzałów do tarczy. Jeśli wszystkie strzały trafia w dziesiątkę, można zarobić 360 punktów. Jedna serię strzałów trzeba oddać w ciągu 2,5 minuty.

Pani Maria Mączyńska jest rekordzistką Polski w następujących odległościach: 70 m — 289 p.; 60 m — 311 p.; 50 m — 294 p.; 30 m — 331 punktów.

SOBIEPANEK

CZYLI OPTYMISTYCZNA HISTORIA O METODZIE

Napisała BARBARA TYLICKA

NIE BĘDĘ WAM TU MAIĆ, wymyślać czegoś, co się w życiu nie zdarzyło. Nie jestem pisarzem i nie zależy mi na tym, aby wszystko, co wam tu opowiem, wypadło efektownie. Nie, przeciwnie, nasze męki z Sobiepankiem przekazuję wam w celach naukowych. Macie czas, zastanówcie się, pomyślcie.

O właśnie, myślenie nie było mocną stroną Sobiepanka, za to w sobie był chłop na schwał, z urody przypominał Tarzana w jego najlepszych filmach, a silny był jak biblijny Samson. Zaś daleko mu było do Salomona i główka u niego pracowała nietęgo. No, ale co tam, mało to różnych w klasie? Nauczyciele pokiwali głowami, ktoś tam coś bąknął o szkole specjalnej, a w końcu machnęli ręką. Oni tak mogli, nie siedzieli z nim w jednej ławce, nie przebywali na boisku i w ogóle nie musieli z nim żyć. Co innego my. Cały kłopot spadł więc na klasę.

A Sobiepanek miał swój rozum, swoje prawa, z nikim się nie liczył i nigdy nie było wiadomo kogo i kiedy uderzy. Oczywiście, silnych nie ruszał, miał przecież swój rozum. Taki Musiałek, Szczepaniak, czy nawet Orlicki mogli mu w każdej chwili zasunąć i ani by nie pisnął. Ale zbić Sobiepanka na kwaśne jabłko — co to za wyjście? Posiniaczony, czy nie — i tak Sobiepankiem zostanie.

Bywało, że Janek Majewski, nasz czołowy intelektualista, tłumaczył mu cierpliwie:

— Sobiepanek — zagajał — puknij się w głowę, a może piąta klepka zaskoczy ci na swoje miejsce. Po co ty woźnej stale przestawiasz ławki, zapalasz światło w szatni w biały dzień i rozłączasz zwonek? Co ci ta stara kobieta zrobiła? Zabrałeś worek z kapciami Julka i wsadziłeś do akwarium. Skrytka dobra, nie powiem, ale skalary nie podzielają twojej opinii i z rozpaczy nad tobą wyzdychały co do jednej. Nie mówiąc o tym, że Julek drugi dzień chodzi po szkole w skarpetkach. Wczoraj znów płakał, bo ćwiczyłeś na nim dżudo, nie biorąc pod uwagę faktu, że to ty chodziłeś na kurs, a nie on. Poczytaj lepiej coś ciekawego — wręczał mu jedną ze swoich morskich miniatur.

Sobiepanek czytać nie lubił. Za to słuchał z przejęciem, z otwartymi ustami. Drabikowski, obserwując tę jego pasję do słuchania, zaproponował:

— Chłopaki, złóżmy się na tranzystor dla Sobiepanka i będzie spokój. Będzie się rozwijał umysłowo...

— E, głupich szukasz, tysiąc złotych wydać na Sobiepanka! Lepiej adapter przynieść i płyty z bajkami. Moja siostra ma, obejdziemy się tanim kosztem.

Adapter się nie przyjął, nieporęczny. Najbardziej pokrzywdzony. Julek, przekupywał Sobiepanka rogalikami. No, ale nie był przecież sprzedawcą w sklepie komisowym, forsy mu nikt do kieszeni nie wkładał. Przewidując swoje rychłe bankructwo, chodził za nami i błagał:

— Chłopaki, zróbcie coś z nim. Może go związać albo co...

— Związać, związać! — krzyczał Majewski. — trzeba wymyślić metodę, on musi się zmienić. Przecież musi być na niego jakiś sposób. Ty, Julek, lepiej dumaj nad metodą. Metoda, bracie, najważniejsza!

Dumaliśmy więc, a Sobiepanek rozrabiał jak zwykle. Wszyscy na wiosnę obcięli długie włosy, bo to gorąco i moda już nie ta, a Sobiepanek chodził potargany na Piasta Kołodzieja i drażnił naszą wychowawczynię.

— U nas na podwórku tworzą zespół, może mnie zaangażują jako solistę — tłumaczył całkiem serio, choć wiadomo było, że beczy jak koza, a gra jedynie na nerwach.

— Ty, Sobiepanek, źle sobie tłumaczycz termin solista, to wcale nie jest ten, co soli — wyjaśnił mu Majewski.

— Wszystko się liczy. Statystyka, bracie, to nauka! I w ogóle w Polsce dzieje się dużo ciekawych rzeczy.

— No właśnie, nie wiedziałem.

— A słyszałeś o współzawodnictwie górników z hutnikami z Huty Warszawa? — łgałem dalej, chcąc dotrzeć do dna sobiepankowej, delikatnie mówiąc... nieświadomości.

— E, ja tam gazet nie czytam.

— A widzisz i znów straciłeś. Otóż sam rozumiesz, że chodzi o to, aby pociągi chodziły jak najszybciej i bez przeszkód. Górnicy i hutnicy podjęli więc zobowiązanie przekopania tunelu z Krakowa do Warszawy. Górnicy będą kopać od strony Krakowa, a hutnicy od strony Warszawy — kto szybciej.

— No, a jak się miną? — zaczął ruszać mózgownicą.

— O widzisz, już coś kapujesz. Nie miną się, przecież pracą kierują inżynierowie, już nie martw się, oni wiedzą.

— Pewnie, inżynierskie głowy. Zresztą nie stałoby się nic złego. Powstałyby w ten sposób dwa tunele. Górnicy i hutnicy by zremisowali. Nie byłoby tak źle — powtarzał w twórczym zamyśleniu.

Dobrze nam szło, ale dalej nie dało się gadać, technolog mógł się nas czepić. Przerwaliśmy. Ziarno jednak kiełkowało. Sobiepanek podparł głowę na rękach, siedział spokojnie, myślał. Coś mu widać nie pasowało. Raz po raz mrużył brwi, wzruszał ramionami.

Na drugi dzień przyniósł Rocznik Statystyczny, wprawdzie sprzed pięciu lat, ale zawsze.

— Nie miałeś racji — powiedział. — Ziarenek piasku nie liczą.

— Cóż chcesz, pięć lat temu! Słyszałeś o maszynach cyfrowych, te dopiero liczą. Trzeba było czekać aż ktoś wpadnie na ten pomysł.

Sobiepanek spojrzał na mnie uważnie i tak jakoś dziwnie rozumnie.

— Ja to sprawdzę i jutro ci powiem — zdecydował.

Umiałem opowiadać. Sobiepanek czuł przede mną respekt, choć obaj wiedzieliśmy równie dobrze, że nalałby mnie jedną ręką z zamkniętymi oczami. Jednak coś do niego czułem. Intuicja mi mówiła, że coś w nim siedzi dobrego, jakaś iskra, którą trzeba rozdmuchać.

Pewnego dnia Szczepaniak nie przyszedł do szkoły, przesiadłem się więc na technologię do Sobiepanka. Przyglądałem mu się. Nie uważał trącał mnie łokciem, czynił głupie uwagi, nie notował. Nauczyciel mówił o masach fornierskich o tym, że jednym z podstawowych składników jest piasek, że ziarnistość masy fornierskiej mierzy się ilością ziarnek na cm².

— E, tam, głupstwa truje — wzruszył ramionami Sobiepanek. — Ziarnka piasku liczyłby kto?

— Nie wierzysz — podjąłem z nim dyskusję — a widziałeś kiedy w swoim życiu Rocznik Statystyczny?

— Taka gruba książka, gdzie są same tabele i liczby. Widziałem. W zeszłym roku pani od geografii kładła go nam na ławce. Leżał sobie, leżał a po lekcji pani zbierała. Koleś tam czasem zaglądał, ale co mnie tam obchodzi, kto ile czego ma na głowę.

— Dużo straciłeś, ciekawa książka. Można z niej wysnuwać zaskakujące wnioski. Wszystko tam jest policzone. Masz pojęcie, że tam jest obliczona ilość piasku na naszych plażach w ziarenkach... Straszna liczba! Jakieś biliony czy tryliony... I tak np. wiadomo, że od 1949 roku liczba ziarenek piasku w naszym kraju systematycznie się zmniejsza... — bagowałem, podniecając się jego niespodziewanym zainteresowaniem.

— No tak — przyznał — ludzie wynoszą piasek z plaży w butach.

— Dobry obywatel nie wynosi piasku w butach — zapalałem się. — Jest nawet specjalny okólnik. Każde ziarnko piasku jest potrzebne. Słyszałeś o tym, że Polska buduje cementownie. A piasek, bracie, podstawowy surowiec. Liczba zmniejszania się piasku na naszych plażach świadczy o rozwoju naszego przemysłu.

— I kto by to pomyślał! — dziwił się Sobiepanek. — A mówią, że włosów na głowie się nie zliczy, a tu ziarnka piasku...

Po paru dniach i kilku przebytych dyskusjach, powiedziałem do Szczepanka:

— Sobiepanek zaczyna mieć zainteresowania intelektualne, zajmuje się statystyką.

— To świetnie, bo my dziś postanowiliśmy go ostrzyc na intelektualistę. Orlicki ostrzy nożyczki w warsztacie. Tylko nic mu nie mów, bo gotów nam nawiać.

Postrzyżyny odbyły się po lekcjach w szkolnej łazience. Urządzono je z fasonem, elegancko. Chłopaki obsłużyli Sobiepanka jak w salonie fryzjerskim w Grand Hotelu. Orlicki nawet świsnął ojcu brylantynę — francuską — jak mówił. Majewski przyniósł wodę lawendową pt. „Mister" marki Uroda. Pierwsze skrzypce w uroczystości postrzyżyn grali oczywiście nasi lekkoatleci: Musiałek, Szczepaniak i Orlicki. Chodziło bowiem o to, aby „klient" był dostatecznie uległy i zachowywał się godnie. Asystowała przy tym cała klasa. Nikt nie chciał opuścić tak niezwykłego widowiska, a Julek przeżywał szczególną satysfakcję.

— Ostrzyżcie go króciutko, teraz idzie na lato! — doradzał.

Orlicki wręczył Sobiepankowi lusterko. Szczepaniak posadził go delikatnie na krześle i założył mu pod brodą ręcznik. Musiałek szczękał nad nim nożycami. Czerwony jak burak Sobiepanek kręcił się na krześle.

— Bądź uprzejmy siedzieć spokojnie, bo możemy cię niechcący zadrasnąć — ostrzegali go grzecznie.

— No więc, jak sobie życzysz, z przedziałkiem czy bez? — zapytał Musiałek.

— Z przedziałkiem, z przedziałkiem! — decydowaliśmy chórem.

— Niech będzie z przedziałkiem — zgodził się.

Musiałek z gracją zabrał się do pracy. Szczękały nożyczki, sobiepankowy hodowany włos miękko spadał na kamienną posadzkę. Twarz Sobiepanka zaczynała nabierać wyglądu, wcale wcale...

— Nawet jesteś przystojny — uznała Jadźka, a Sobiepanek jeszcze bardziej pokraśniał.

— A ty co myślałaś! To jest twarz intelektualisty XX wieku, a nie żaden tam pikantropus albo dinozaurus. Zawsze był przystojny, tylko włosy zasłaniały — wziąłem go w obronę.

— Golić cię nie będziemy, bo nie bardzo jest co, nożyce nie chwycą. Ale buzię ci obmyjemy,

bo do tego fasonu fryzury ciemna karnacja skóry nie pasuje. Jadźka, leć po mydło!

— Nie trzeba. Mam tu pachnące. Biały bez odpowiada panu? — zwrócił się do klienta w ukłonach Orlicki, wyciągając z kieszeni mydło toaletowe. — Przypuszczałem, że będzie potrzebne.

— Nie trzeba, chłopaki. W domu się umyję, mam uczulenie na biały bez... — bronił się Sobiepanek.

— E, niech pan się nie przejmuje, to sztuczny zapach, artystkom nie szkodzi... — i Szczepaniak umoczył ręcznik, namydlił go solidnie i przejechał nim po twarzy klienta.

— Widzi szanowny pan, że kuracja była konieczna — stwierdził, podsuwając mu pod oczy czarne ślady na ręczniku.

— Teraz kolońska woda i gotowe. Kto tego pana zaprosi na czarną kawę? — zwrócił się do klasy Musiałek.

— Ja go zapraszam, wygląda tak kulturalnie, że przyjemnie będzie się z nim pokazać w „Colorado". Zresztą mamy do omówienia pewne problemy statystyczne — mrugałem do niego porozumiewawczo.

Orlicki zamiatając ręcznikiem podłogę, giął się w ukłonach przed klientem:

— Gotowe, szanowny pan wygląda jak młody bóg.

Sobiepanek przyjrzał się sobie bacznie w lusterku, uśmiechnął się. Rzeczywiście wyglądał korzystnie, powiedziałbym — sympatycznie.

— No, nieźle, z tyłu trochę gorzej, ale to Musiałek poprawisz następnym razem — sięgnął do kieszeni i wręczył zdumionemu Musiałkowi 20 groszy.

Nadzwyczajne. Zamilkliśmy w zdumieniu. „Zareagował prawidłowo, jednak coś mu świta" — pomyślałem nie bez satysfakcji, gdyż rozbudzenie intelektualne Sobiepanka przypisywałem sobie i swojej metodzie.

— Naprawdę zapraszasz mnie na kawę? — zwrócił się do mnie. Kiwnąłem głową nie tyle na znak zgody co ze zdziwienia. — To weźmy i Julka. Muszę mu się zrewanżować za rogaliki, rozumiesz.

Oczywiście rozumiałem. Poszło na pieciu. Kawa nie była kawą, jedynie lemoniadą na cukrze pt. „Mandarynka", ale zawsze byliśmy w kawiarni, jak ludzie. Sobiepanek nas oczarował: opowiedział dowcip przeczytany w „Przekroju", zabłysnął kilkoma efektownymi zestawami z Rocznika Statystycznego, dał nam do rozwiązania rebus, tym razem chyba ze „Świerszczyka", ale zawsze to już coś.

— Że też od razu nie wpadliśmy na pomysł tych postrzyżyn. Radykalna zmiana, sympatyczny chłopak. Kto by pomyślał.

— Tak bracie, z nim jak z tym biblijnym Samsonem: ucięli mu włosy i przestał być silny — omawiali chłopaki dzisiejsze wydarzenie.

Ja tam wiedziałem swoje: może i postrzyżyny, ale przede wszystkim moja metoda. Tak, Sobiepanek zaczął rozwijać się i stał się fajnym kumplem. Zostało mu wprawdzie dziwne nazwisko. Nazwiska nikt sobie nie wybiera. Ja też go nie wymyśliłam. Nazywał się tak naprawdę.

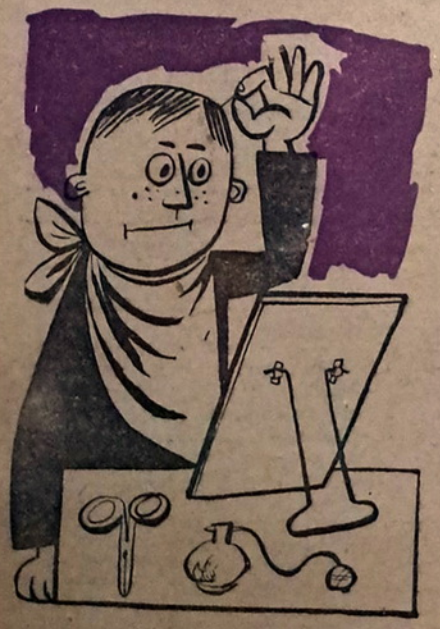

Rys. W. Lewiński

KRZYŻÓWKA—MECZ

Opracował: A. ŻUKOWSKI

W tym meczu może brać udział brat z bratem, siostra z siostrą, kolega z kolegą. Przed rozpoczęciem wpisywania wyrazów należy ustalić jakąś niewielką nagrodę dla zwycięzcy. Kto szybciej rozwiąże swoją krzyżówkę, ten wygrywa mecz, i otrzymuje ustaloną przez Was nagrodę.

Regulamin gry jest prosty. Najpierw dobieramy sobie przeciwnika, a następnie ustalamy przez losowanie, kto rozwiązuje górną, a kto dolną krzyżówkę. Wpisywanie wyrazów do diagramu zaczynamy równocześnie.

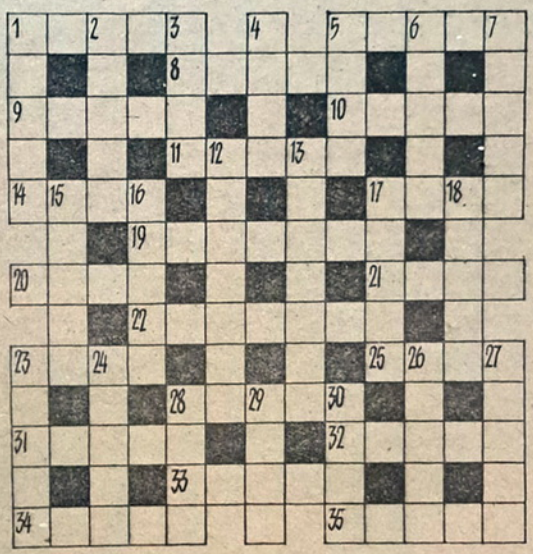

1.

Poziomo: 1 — wyspa na Morzu Śródziemnym; 5 — obrady, posiedzenie; 8 — nakrycie głowy królów staroperskich, nakrycie głowy papieża; 9 — płyn oleisty, dzielnica Gdańska; 10 — list żelazny, list zapewniający bezpieczeństwo w podróży; 11 — uroda, wdzięk, piękno; 14 — miasto zachodniej Rumunii; 17 — najmniejsza cząstka filmu, obraz filmowy; 19 — imię żeńskie; 20 — ciągnie nitkę; 21 — mieszkaniec Serbii; 22 — obchodzi imieniny 27.VII lub 1.XII; 23 — duża skrzynia; 25 — półwysep na pn. wybrzeża Morza Czarnego; 28 — obóz i miasteczko pionierów na Krymie; 31 — ogłoszenie w pismach, zawiadomienie; 32 — wyspa na Bałtyku; 33 — lek na ból gardła, miasto w USA; 34 — ozdobny trawnik; 35 — elektroda połączona z dodatnim biegunem.

Pionowo: 1 — pewna suma pieniędzy; 2 — imię żeńskie; 3 — natarcie, uderzenie; 4 — skała podwodna; 5 — legenda, opowiadanie staroskandynawskie; 6 — miejsce, gdzie się coś dzieje, część sali teatralnej lub utworu dramatycznego; 7 — artysta sceniczny; 12 — może być jądrowy, urządzenie do uzyskiwania energii jądrowej; 13 — miasto w Polsce; 15 — wyspa na Bałtyku u wybrzeży Niemiec; 16 — bogini łowów i księżyca; 17 — długa bluza; 18 — najważniejsze wyścigi konne; 23 — rumowisko u stóp zboczy górskich; 24 — krój spódnicy, szklane nakrycie półkuliste; 26 — plac kolisty; 27 — zwłoki zabalsamowane; 28 — inaczej pan, waćpan, (dawna nazwa); 29 — kolejność, kolejka; 30 — zwierzę.

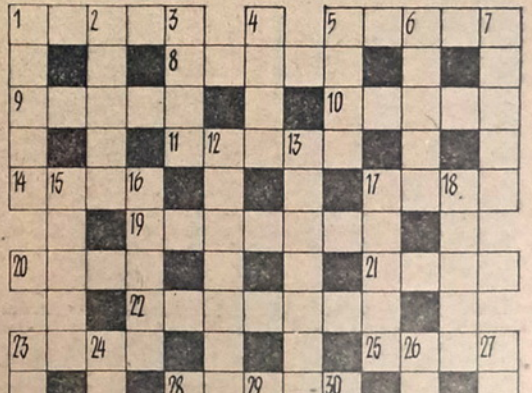

2.

Poziomo: 1 — ptak o długim dziobie; 2 — odłam wyznaniowy w obrębie religii; 8 — miasto w ZSRR (Syberia Zach.); 9 — zwój czegoś; 10 — nowelka Bolesława Prusa; 11 — wolne, nie zajęte miejsce, stanowisko; 14 — łóżka piętrowe na statku; 17 — utwór liryczny, pieśń pełna żalu, przedłużenie suknі damskiej; 19 — męskie obuwie sznurowane; 20 — może być słoneczny, ciepiny; 21 — zmierzch; 22 — kraina w pn. Hiszpanii; 23 — oleisty tłuszcz; 25 — schodki spuszczone ze statku, zapadnia; 28 — inaczej krzew; 31 — jezioro w Afryce; 32 — rodzaj gwoździa; 33 — człowiek zdziecinniały, zniedołężniały; 34 — miasto w Tybecie; 35 — plac (rynek) starożytnej Grecji;

Pionowo: 1 — imię psa; 2 — może być szerokotorowa lub wąskotorowa; 3 — są w nim ryby; 4 — mały urwis; 5 — gra w karty; 6 — półwysep nad Zatoką Perską, niegroźna choroba dróg oddechowych; 7 — sznur z pętlą do chwytania zwierząt; 12 — przedsiębiorstwo (osoba), które wyposaża i użytkuje statek handlowy; 13 — państwo w Europie; 15 — odznaka za męstwo lub inne zasługi; 16 — jest w kinie i telewizorze; 17 — myśl główna utworu, zadanie do rozwinięcia, część wyrazu odmiennego; 18 — rodzaj pelerynki futrzanej; 23 — przejście wybite w skale lub pod ziemią; 24 — imię żeńskie; 26 — brzeg kapelusza, plac kolisty; 27 — drzewo krajów tropikalnych; 28 — następstwo winy; 29 — pora roku; 30 — przyrząd sportowy z żelaza używany do pchnięć na odległość.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązanie rozrywek umysłowych.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — Warszawa, Mokotowska 24, tel. 21-12-04. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna zł 12,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Zam. 460 N-55

TYTUS ROMEK i A'tomek

Henryk Chmielewski

Co i jak jeść?

PODSTAWOWYM posiłkiem dziennym jest dla ciebie dobre śniadanie. Przy pozostałych posiłkach należy szczególnie dbać o to, żeby potrawy uzupełniane były surówkami warzywnymi i owocowymi. Nie ilość posiłku jest ważna, ale jakość.

Na przykład kiszona kapusta poprawia apetyt i zawiera wiele witamin oraz składników mineralnych. Kiszony ogórek dodaje smaku mdłym potrawom. Surówki z tartej marchwi z jabłkiem, sałatki z surowej kapusty i sałatki z papryki powinny być nieodzownym dodatkiem do wiosennych posiłków.

Świeża sałata i rzodkiewka to nieocenione źródło witamin. Wiosną nowalijki są drogie, ale naprawdę lepiej kupić sobie choćby co 3 dni pęczek rzodkiewek, niż

codziennie jedno ciastko. Finansowo wychodzi na to samo, a zdrowotnie bez porównania lepiej.

Jedz zawsze powoli, dobrze żuj. Dokładne wymieszanie pokarmu ze śliną ułatwia i przyśpiesza trawienie.

Jeżeli możesz, to staraj się wypić codziennie jedną szklankę soku owocowego zamiast oranżady, czy innych mało wartościowych płynów.

Jeżeli w twoim jadłospisie brak jest surówek i owoców, staraj się uzupełnić ten brak tabletkami witaminy „C". Zażywaj trzy razy dziennie po 2 pastylki. Obecnie produkowane u nas tabletki są bardzo wartościowe i trwałe. (bis)

JAK ICH OCENIASZ?

KAŻDA z postaci występujących w zamieszczonej na str. 12 historyjce uosabia pewną wartość, dodatnią lub ujemną cechę postawy moralnej człowieka:

Ewa — **przyjaźń.** W imię przyjaźni decyduje się na męczącą wyprawę, pokonuje wszystkie trudności, łamie nawet zakaz odwiedzin.

Rybak — **rozsądek.** Zna jezioro przy sztormowej fali. Nie chce narażać Ewy i siebie.

Leśniczy — **wygodnictwo.** Nie poświęci własnej wygody dla drugiego człowieka.

Staszek — **interesowność.** Za czekoladę, pieniądze lub inne korzyści materialne zrobi wszystko.

Maryla — **tchórzostwo.** Niechęć do brania odpowiedzialności. Rozumie Ewę, ale woli się do sprawy nie mieszać.

Bożena — **egoizm.** Poza sobą, poza własnymi przyjemnościami nic ją nie obchodzi.

Dopisz teraz do imion, które uszeregowałeś na twojej kartce papieru, odpowiednie wartości, a przekonasz się, co najwyżej cenisz, co najostrzej potępiasz.

(j.m.)